

BYŁO ICH DWOJE.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

WARSZAWA.

NAKŁAD GEBETHNER A I WOLFFA.

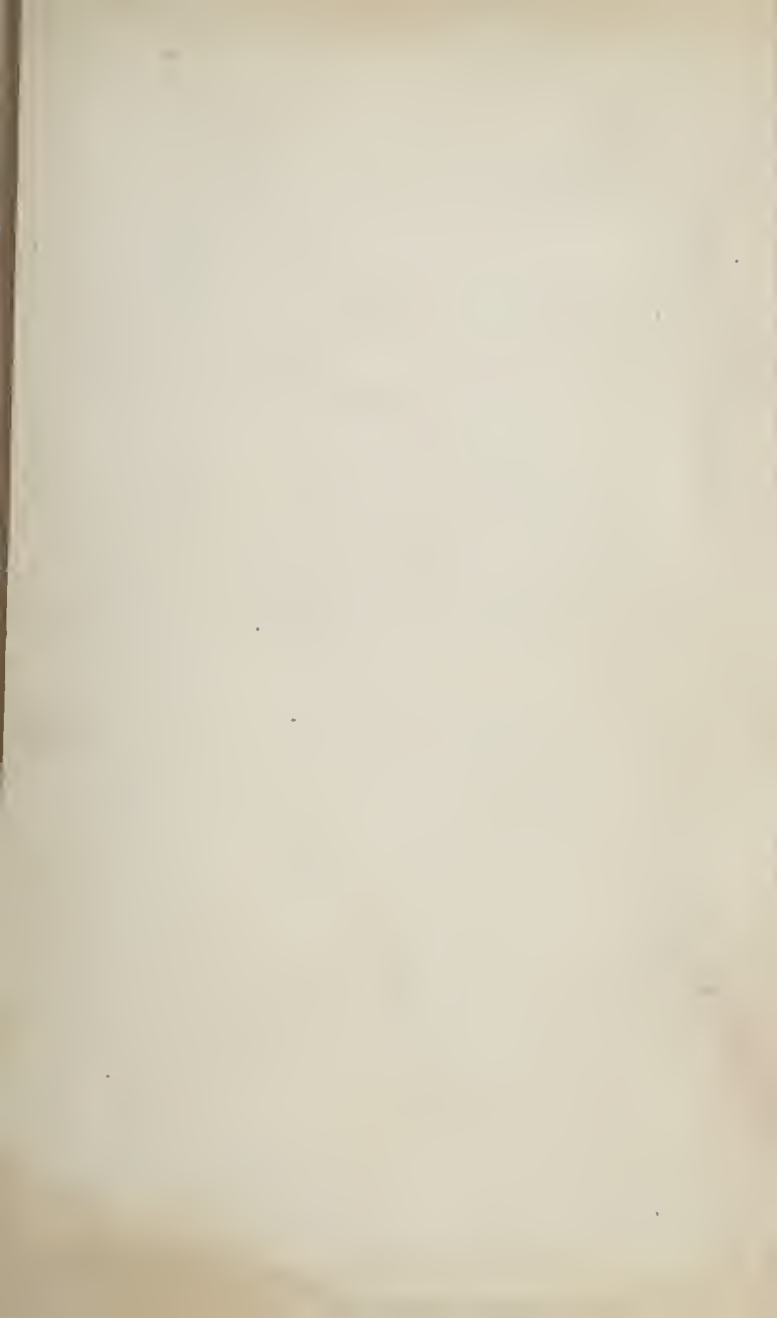
—
1881.

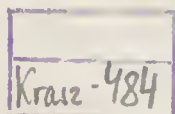
MNK
X/WS/1654

DZIELA J. I. KRASZEWSKIEGO.

<i>Bracia rybnicy</i> . Obraz społeczeństwa wiejsk. XVIII w.	1 —
<i>Bratunki</i> . Powieść z podania początku XVIII w. 2 t.	2 —
<i>Brühl</i> . Opowiadanie historyczne wydanie 2-gie, 2 tomy.	2 —
<i>Chrebusze</i> . Powieść 2 tomy	2 —
<i>Czekoladny</i> . Powieść z ilustracyami Chelmońskiego i Ksawerego Pillatego	1 50
<i>Herold Babu</i> . Opowiadanie dziadka	1 35
<i>Hołota</i> . Powieść współczesna. 2 tomy	1 50
<i>Hrałina Ciel</i> . Powieść historyczna, wyd. 2-ie, 2 tomy	2 —
<i>Jak się pan Paweł żenił i jak się cenił</i> . Powieść.	— 90
<i>Jesienią</i> . Powieść. 2 tomy	1 80
<i>Kawał literata</i> . Wizernuki społeczne z końca XVIII w.	1 50
<i>Krasiech</i> . Życie i dzieła Kartka z dziejów literatury XVIII wiekn. 12-ka.	2 —
Wydanie na papierze welinowym w 8-ce	2 50
<i>Macocha</i> . Powieść z podań XVIII wiekn. 3 tomy.	2 25
<i>Moskwy</i> . Abracadabra Dwa fragmenty, oraz przepisany przez tegoż Dyaryusz podróży z Warszawy do Petersburga hr. K. z. Konst. de Bröl Platara.	1 —
<i>Moskwa</i> . Powieść w 2-eh tomach	2 25
<i>Niebieskie miśki</i> . Powieść. 3 tomy	3 —
<i>Ostatnie chwile</i> księcia wojewody (Panie Kochanku), z papierów po Glince. Wydanie 2-gie.	— 90
<i>Pan na czterech łopach</i> . Historia szlach. z XVIII w.	1 —
<i>Pol Blachy</i> . Powieść z końca XVIII wiekn. 3 tomy.	3 —
<i>Powrót do niozda</i> . Powieść z podań XVI wiekn.	1 50
<i>Przygody Pana Marka Hłuszy</i> . Rzecz z podań życia starszslacheckiego	1 20
<i>Ramulowa</i> . Powieść współczesna	1 35
<i>Raptunek</i> Pana Matensza Jasienieckiego	1 —
<i>Recepcyj</i> . Powieść w 2-eh tomach	1 50
<i>Rękopis i prace</i> . Sceny i charaktery współczesne	1 20
<i>Szyfry Flenuga</i> . Powieść historyczna z czasów Augusta II. 2 tomy	1 50
<i>Stara Basa</i> . Powieść z IX wieku. Wydanie jubileuszowe na wytwornym welinie z 24 ilustracyami Andriollego, w 4-ce, w ozdobnej oprawie w płóciennu angielskie z złoceniem	12 —
<i>Starość Waszawski</i> . Obrazy histor. z XVIII w. 3 tomy	3 —
<i>Syn mari trawny</i> . Opowiadanie z końca XVIII w. 2 t.	2 40
<i>Weterynarz</i> . Studium psychograficzne.	1 20
<i>Z sie miśki wony</i> . Opowiad. histor. Wyd. 2-gie, 2 t.	2 —
<i>Żywe i sprac</i> JMei Pana Modarta z Gołezwi Pełki. 3 t.	3 —

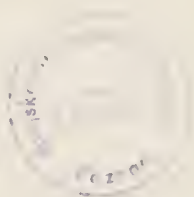
BYŁO ICH DWOJE.





Дозволено Цензурою.

Варшава, 23 Марта 1881 года.



Druk Józefa Ungra, Warszawa, Nowolipki, Nr. 3.

1986 D 26

I.

Mężczyzna, którego wiek niepodobna było odgadnąć z twarzy — bo zarówno mógł mieć lat czterdzieści jak sześćdziesiąt — z nogami mocno obrzękłymi, w butach sukiennych, w kontuszu wytartym, z głową podgoloną, od której para ogromnych uszu odstawała — siedział w starém krześle, w pośrodku ogromnej niskiej sali.

Był to jeden z tych ludzi, co nigdy młodymi nie bywają, a zato długo zestarzeć się zupełnie nie mogą.

Rysy miał pospolite, brzydkie, wyraz jakiś prawie zwierzęcy. Nos ogromny, nieforemny, usta jak nabrzękle, oczy małe i kose, włos na wąsach rzadki i brudny; skóra żółta, pomarszczona, plamista — nadawały mu fizyonomią odrażającą.

Sala, w której zasiadał, niedaleko od okna na ogród wychodzącego—widok przedstawiała osobliwy.

Zdawało się, że z całego domu do tej wielkiej izby zniesiono co tylko było w domu sprzętów. Stały one w największym nieładzie. Szafy poroztwierane, kufry na wpół wyładowane; na ziemi razem walały się, pozrzucone na kupy, odzież staroświecka mężka i kobieca, bielizna, papiery, broń, siodła, srebro, szkło, porcelana...

Zaledwie przejście od drzwi do krzesła było wolne.

Na kanapach, po ławach nagromadzone były makaty, kobierce, płótno... zapasy domowe najcenniejsze i najmniej cenne.

Przed siedzącym mały stoliczek zarzucony był papierami i rejestrami.

Opodal trochę, wśród tych kup, trzymał się chudy, z rękoma na plecach założonemi mężczyzna ubogo ubrany, w czarnych butach kozłowych, blady, wynędzniały — rozglądając się ciekawie ale smutno.

Jegomość z nogami obrzękniętymi, a twarzą wstrętną, zdawał się uradowany i tryumfujący.

W rękę trzymał papier i uśmiechał się do niego.

Mówił półgłosem, niby do siebie samego, a może do słuchającego, który wyglądał na sługę.

— Tak ręka Boga wszechmogącego dotyka... faryzeuszów... Otóż jak skończyła się komedia z podkomorzyną.

Całe życie stara znać mnie nie chciała... ani na oczy... rodzonego synowca! Nazywała mnie szelmą, chciała cały majątek biednym oddać, sierotki sobie zbierała... świadczyła obcym, a synowcowi rodzonemu figa!!

Ukarał pan Bóg... poszła na sąd Jego nie mając czasu zrobić testamentu, i teraz szelma ten po niej wszystko bierze... jak swoje... Bo swoje...

Cha! cha! cha!...

Jeżeli asindzce z tamtego świata spojrzeć wolno na ten padoł płaczu, co się to tam dzieć musi... na widok, że synowiec, pan stolnikowicz Pruchno, gospodaruje w Karolówce...

Jak Boga kocham... przedziwnie!

Obrócił się do stojącego sługi.

— Cóż ty stoisz wyłupiwszy oczyska... bałwanie... idź mi do lochu i przynieś tego co wczoraj;—a pamiętaj, że butelki liczone.

Ruszając ramionami, sługa poszedł mruczając do drzwi i cisnął je za sobą.

Stolnikowicz rozparł się wygodnie w krzesle, rzucił papier na stolik i spoglądać począł po nagromadzonych rupieciach.

— W porę to przyszło—dumał—cienko śpiewałem na ostatnich dwu chłopkach, a habsko liłości nie miało, pod pozorem żem wszystko stracił.

A dla kogóż miałem zbierać i kutwić?

Tyle naszego co się użyje!...

Teraz i o ożenku pomyśleć nie od rzeczy; Karolówka wieś co się zowie, ani grosza długu, w Brześciu depozytem u Dominikanów gotówką, jak świadczy rewers w szkatułce kutěj, przeszło trzy tysiące czerwonych złotych.

Tu zapasy... ogromne.

Stajnia pańska, loch kasztelański...

Czego tu chcieć!

Cha! cha!

Tylko żyj i popuszczaj pasa!

Pogładził się po brodzie i westchnął.

— Żeby nie te nogi... i nie te lata... ale, od czegoż doktory, gdy jest czém płacić?

Ho! hołupca jeszcze utniemy, i panienkę sobie wybiorę jak malinkę...

Zadumał się stolnikowicz...

— Trzeba będzie pilnować jój, bo dyabeł nie śpi... a ożenić się taki w końcu muszę...

Samemu w domu nudno...

Stuknął w palce obrzękłe i głową pokiwał.

W tém Symon sługa wniósł butelkę z lampką, postawił ją przed nim i nalał.

Stolnikowicz wypił chciwie i językiem mlaśniał.

— Teraz, dalej do roboty! zawołał.

Podkomorzyna utrzymywała tu darmozjadów, sieroty dziewczęta, chłopców bez miary... trzeba to tałajstwo rozpędzić... ale niechże ja to tałajstwo zobaczę...

W tém zdawał się pomiarkować:

— Tylko nie tu—rzekł—gotowi co pochwyć—do jadalnej sali ich spędzić, a tu pozamykać...

Dasz mi znać, gdy się zbiorą.

Nalał sobie lampkę drugą, ale tę pił powolnie, przypatrując się do okna przezroczySTEMU plynowi, i uśmiechając się do niego... Spory kawał czasu upłynął, nim Symon dał znać, że sierotki w jadalni czekają.

Musiał podać rękę stolnikowiczowi i prowadzić go, bo na nogach obrzękłych nie bardzo był pewnym chodu.

Sala jadalna — do której przez sień się dostali — nie naruszoną była jak po nieboszczce ją znaleźli.

Skromnie przybrana, miała duży stół w pośrodku, dosyć krzeseł z wysokimi poręczami pod ścianami, kilka portretów wiszących krzywo na nich.

U drzwi stała kupka strwożonych dzieci, a raczej dwie ich gromadki; pięć dziewczynek jednakowo, skromnie odzianych, w fartuszkach sinych, — i trzech chłopaków w kurtkach.

Najmłodsza z dziewcząt mogła mieć lat ośm, najstarszy z chłopców lat około czternastu.

Na tych wychowancach podkomorzynę widać było, że się sama zajmowała niemi. Dziewczęta wyglądały zdrowo i świeżo, chłopaki były silne i żwawe, nie zahukane i nie strwożone.

Na widok wchodzącego stolnikowicza, który szłapiąc do krzesła się sunął, a na dzieci z wyrazem szyderskim i złośliwością poglądał... dziewczęta poblady, ściskając się, jakby czuły, że się bronić potrzebowały.

— Zawołaj-że tej totumfackiej... hę? tej? jak się zowie? Brzegrodzkiej? Niech raczy się po-fatygować...

Siadł, aż krzesło stęknęło, i oczyma począł sieroty musztrować.

Drzwi się otworzyły i poważna, niemłoda, z czołem pofałdowaném, z wyrazem dumnym na twarzy, weszła, chustką wielką otulona, Brzegrodzka, dawna sługa i powiernica zmarłej.

Z jej postawy i twarzy widać było, że ze stolnikowiczem musieli już być na stopie wojennój.

— Niechże mnie pani raczy objaśnić... o tych przybłędach?

Są tu którzy ze wsi—poddani?

Nie—odparła sucho ochmistrzyni.

— Proszę mi po imieniu i pochodzeniu je przedstawić, abym wiedział co z niemi robić. Ja tego tałałajstwa trzymać nie myślę.

Brzegrodzka, ani przedsiębiorając się wstawiać za niemi, poczęła głosem, w którym oburzenie i gniew czuć było:

— Julusia Rzepkówna... z Włodawy ją pani przysłali—lat dwanaście.

— Niech-że ją do Włodawy odwiozą... zamru-
czał Pruchno.

— Kostka Szelpciówna z Wisznic—lat dziesięć.

— Do Wisznic...

— Marysia Myszkówna... z Błotkowa — lat
dziesięć.

— Do Błotkowa...

— Jagusia Czerapińska z Czarnawczyc.

— Item! szydersko ciągnął pan stolnikowicz.

— Kasia Zawilowska... lat ośm...

— Jeśli która do gęsi się zda, a gospodyni weźmie... niech zostanie... dodał Pruchno.

— Ale — za życia podkomorzynéj, one się czytać, pisać uczyły i robót... odparła śmiało Brzegrodzka.

— Acani myślisz, że ja dla nich będę guwernantki trzymał!

Rozśmiał się stolnikowicz.

Jeszcze czego nie stało!

Na cztery wiatry! na cztery wiatry — rozpędzić to... precz ..

Obrócił się do chłopców.

Najstarszy z nich stał czerwony jak piwonia... Dwaj młodszy drżeli bledzi.

— Staszek Mierzowski — odpowiedziała, na wskazanie ręką, ochmistrzyni.

— Ten się zda do kredensu, — rzekł stolnikowicz.

W chłopcu zdało się kipieć wszystko.

— Ja za służbę u pana dziękuję! — rzekł głosem poruszonym.

Stolnikowicz się rzucił.

— Ho? słyszycie! zawołał...

Chciał łajać, bo mu się usta wykrzywiły, ale się wstrzymał i krzyknął tylko:

— Won! za drzwi! a żeby mi nie z sobą nie śmiał brać.

Chłopiec, nie pokłoniwszy się nawet, wyszedł zaraz.

Brzegrodzka dwóch młodszych nie potrzebowała mianować, bo nie czekając na to, stolnikowicz zakrzyknął:

— Chcą świnię paść,—niech zostaną, a nie—won! won...

Wpadł nagle w namietność wielką.

— Wszystko co tu podkomorzyna hodowała—psuła... psu na budę!

Rozegnać to... nie chcę znać...

Głosem, w którym czuć było łkanie, ochmi-strzyni dodała:

— Pójdziemy wszyscy — pan Bóg na sieroty łaskawy, a stolnikowiczowi szczęścia nie przyniosą łyzy biednych...

I wyszła.

W ganku stały dzieci i, choć może nie pojmowały wszystkich następstw tego co ich spotkało, płakały.

Starszych tylko dwoje oczy miało suche, wzrok jakiś zadumany.

Jeszcze pod wrażeniem tego co doznała, wyszła do nich ochmistrzyni,—i dopiero w ganku sama się rozplakała.

Staszek Mierzowski, z rękoma na piersiach założonemi, z głową spuszczoną, z twarzą jeszcze od gniewu czerwoną, stał oglądając się dokoła.

Plącząc podszła ku niun ochmistrzyni.

— Nie trwóźcie się rzekła,—zrobi się co można. Są poczciwsi ludzie na świecie.

Staszek spojrział na Marysię Myszkó wnę—dziesięcioletnią dziewczynkę, która, jak on, stała zamysłona a nie strwożona.

Dziewczę było w tym wieku, gdy jeszcze o niemu powiedzieć nie można, co z niego wyrośnie.

Kwiaty i ludzie w pączkach wszyscy są do siebie podobni.

Włosy miała jak len płowe, oczy duże, blade-niebieskie, rysy twarzyczki foremne lecz jeszcze nie złane w tę całość jaką daje życie. Zdało się tylko, iż blade dziewczę lub nie zrozumiało swego losu, albo z energią nad wiek przyjmowało go mężnie!

W chwilę potem na ganku nie było nikogo już, Staszek Mierzowski, mały węzelek swój w bocznej izbie przygotowawszy, zabierał się precz iść ze dworu... Wahał się jednak jeszcze...

Zostawując rzeczy pod ścianą, pobiegł do ochmistrzyni.

W pokoju jej widać było téż przygotowania do podróży: tłumok stary na pół już upakowany, rzeczy tu i owdzie porozrzucane.

Troje najmłodszych dziewcząt w kącie siedziało na ziemi, dwie starsze, między niemi Maryś Myszkówna pomagała Brzegrodzkiej.

Zobaczywszy go wchodzącego, ochmistrzyni przestała pakować.

— Przyszedłem się pożegnać, wybąknął Staszek, na którym oczy niebieskie Marysi zatrzymały się ciekawie.

Ochmistrzyni założyła ręce i zbliżyła się do niego.

— Cóż ty myślisz z sobą? spytała.

— Albo ja wiem? A pan Bóg odczego? odparł chłopak śmiało, a ręce odczego? Kogo Bóg stworzy, tego nie umorzy... Żebym był starszy a niedolega, toćbym się miał czego kłopotać, a tak!!

Patrzył na Marysię.

— Ale co z tamtymi będzie? proszę pani?— zapytał.

— Co i z tobą — westchnęła ochmistrzyni. Chłopców tymczasem proboszcz weźmie, dał mi

słowo. On sobie z nimi da radę, — wezmą ich gdzie potém do dworu.

Wciąż Staszek spoglądał na Myszkównę, choć nie śmiał już pytać.

— Z dziewczętami trudniej — mówiła Brzegrodzka... zwłaszcza z temi małemi... Ale za życia podkomorzyny bywało tu dosyć ludzi i pań bogobojnych; — pojedę zebrać dla nich, boś kiedy biedna nieboszczka nie zrobić nie miała czasu, tak ją śmierć zaskoczyła... na mnie cięży obowiązek... Z tym człowiekiem...

Tu zniżyła głos i dodała z gniewem:

— Albo to się człowiekiem warto zwać! Boże odpuść.

I, jakby odgadła myśl Staszka, dodała.

— Starsze muszą sobie choć do ubogiéj rodziny wracać... Co robić! Przynajmniej się tu katechizmu nauczyły.

Otarła łzy cisnące się do oczu...

Staszek spojrzał na Maryś.

Ta jakby chciała go uspokoić, przyszła w rękę pocałować ochmistrzynię i poczęła głosem dosyć pewnym:

— Żeby mnie tylko jak się dostać do Blotkowa... Nie mam ci ja tam familii, bo wszystko wymarło, ale matusi nieboszczki kuma szewco-

wa Bardzicka, ta mnie przytuli. Ja jej posłużę...

Łzy otarła prędko fartuszkiem.

Milczeli wszyscy trochę, ochmistrzyni się zamyśliła.

— A ty w którą stronę? zapytała ochmistrzyni.

— Dworów ja nie znam — odparł... trzeba będzie gdzieś do miasta... W mieście łatwiej o robotę, a choćby do terminu... Spojrzała nań Brzegrodzka...

— A nie zapóźno ci?

— Cóż będę robił? rzekł Staszek. Pisać, czytać umiem, więcej nic. Za nieboszczki pani, nie było co robić. Posłużyło się trochę, a potem człek się niby uczył, więcej bąki zbijał.

Sierota jestem... a sam Bóg wie, szlachcic czy nie.

Ochmistrzyni ruszyła ramionami.

— Gdzie ci tam o tém myśleć! rzekła.

— Ja też nie myślę, — odparł chłopiec... Tyle wiem, że sobie radę dam...

Jakoś mu się oczy zwilżyły; popatrzył na Maryś, a potem przystąpił do Brzegrodzkiej i, za kolana ją wzięwszy, nogi całować począł.

— Dobrą byłeś dla nas jak nieboszczka pani... niech Bóg płaci...

Rozpłakala się stara jćjmość.

— Zapłacicie wy jćj i mnie, rzekła—gdy na pocziwych wyrośnięcie ludzi... Niech wam Bóg błogosławi...

Staszek, kryjąc łzy, wymknął się z pokoju.

Miał odejść — ale się zatrzymał w rogu domu,—miał jakieś przeczucie, czekał.

Upłynęła chwila, Maryś, wybiegła oglądając się niespokojnie dokoła. Zobaczywszy go zarumieniła się trochę. Staszek podszedł, skrobiąc się w głowę.

— Dokąd-że ty myślisz? zapytała go żywo dziewczyna.

— No—a ty?

— Nic mam gdzic, ino do Błotkowa, do Bar-dzickiej.

— A jak nie przyjmą?

Dziewczę głową potrząsło.

— Nie może być...

Posępnie się zadumała, rękę chudą pod brodę podkładając.

— Czemużby nie przyjęli;—albo ja posłużyć nie mogę?

— Myślicie, że u prostych ludzi taka posługa jak bywał za nieboszczki we dworze? Ale! wodę nosić trzeba, drwa dźwigać.

— No, to co? odparło dziewczę... dźwignę.

Staszek stał niemy, po ścianie palcem skrobiąc.

— Albo my się zobaczymy gdzie, albo nie?

Maryś!

Dziewczę westchnęło.

— Kto to może wiedzieć szepnęła.

— Mnie i dworu żal i was, dodał chłopiec.

Byliście mi jakby siostrą rodzoną...

— Prawda! szepnęła Maryś, z oczyma załzawionemi; — ale na świecie tak, mówiła nieboszczka... wszystko niepewne... w ręku Bożym...

Idziecie dziś? spytała ..

— Muszę, rzekł Staszek, czego mam czekać? żeby mnie biczem kazał za wrota wysmagać!

— Niech Bóg prowadzi — cicho szepnęła Maryś, zasłaniając oczy. .

— Pamiętaj, Maryś — dodał żywo chłopiec — jakbym ja wiedział o was a mógł, a trzebaby wam było pomocy... Jużci my nie darmo tyle lat się pod jednym chowali dachem...

Nie wiedział Staszek, czy słowa te posłyszała, bo oczy sobie fartuszkciem zakrywwszy usunęła się do sieni.

Staszek Mierzowski wziął węzelek i kij i, nie oglądając się już na dwór w Koralówce, w świat poszedł...

II.

Bardzicki, a imię mu było Salomon, zwał się szewcem i mieszkał w Błotkowie...

Szył on i łątał obuwie; wszakże jako samouk, który nigdy nie był w terminie a rzemiosło chwycił z podglądania, ze słyszenia, i dużo skóry napsuwszy, przez sławetnych majstrów brzeskich i błotkowskich poczytywany był za partacza.

On téż ich wszystkich w czambuł partaczami nazywał.

W legendzie żywota i młodości Bardzickiego było parę lat zamglonych, o których on utrzymywał, iż do Warszawy chodził, że tam terminował i czeladnikiem był, a wyzwolony i patentowany nie został z powodu, że—zaszły pewne okoliczności.

O nich jaśniej nigdy rozmawiać nie chciał.

Pomimo tych zapewnień w panu Salomonie znać było autodidakta... Miał w obchodzeniu się ze skórą i dratwą pewne zuchwalstwa, nieprawidłowości, na które rzemiosło nie pozwala i nie potrzebuje ich. Radził sobie zuchwale bardzo.

W szyciu butów zarywał na reformatora i rewolucjonistę. Umiał się bez wielu rzeczy obchodzić, bez których porządny majster nie stąpi. Robił podeszwy niekiedy nadzwyczajnej grubości, to niezmiernie cienkie, szył dratwą nie zawsze jednaką... Nudziła go jednostajność, miał fantazye... a, co najgorzej, że samo rzemiosło to rzucał, to do niego wracał i niekiedy wkra-
czał w rymarskie zajęcia.

Przytém, jako mieszkaniec Nadbuża, od dzieci-
cinnych lat bebrząc się w wodzie, zapalonym
był rybołowem. Byle się zręczność nadarzyła
z wędką, z wężerzem, z niewodem, na poświst,
z oszczepem — rzucał niedokończoną robotę
i ruszał.

Rozumie się, że u takiego majstra czeladzi nie
było. Brał czasem sieroty-chłopaków, niby to
do rzemiosła — ale niecierpliwy i sam się zrażał
nauczaniem i biedaków męczył tak, że mu u-
ciekali.

Kończyło się na tém, że ledwie najnędniejsza, prosta robota mu się dostawała — najczęściej łatanina, podzelowanie, przyszwyy.

— Z tém wszystkiém posłuchać go było, gdy o sobie mówił uśmiechając się dumnie: można było przysiadz, że najdelikatniejszą robotę z safianu, kurdybanu, na najśliczniejszą nóżkę kobiecą potrafi zrobić — jak ulał.

— Gdyby nie szelmstwo ludzkie — powiadał, gdyby nie łajdactwo niepocziwych wrogów, gdyby świat był innym— oho! stałby mospanie Bardzicki wysoko... Ale... na tym świecie podłym zawsze tak... Kto osieł temu się szczęści, a kto ma w głowie olój i coś by potrafił, to go na ostatni szczebel zepchną.

W domu była sroga bieda czasami. Wprawdzie miał Salomon własną posesyą w Błotkowie, z której tylko coś do skarbu opłacał, miał i ogródek — ale miał także żonę i dwoje dzieci.

Syna rzemiosła nie chciał uczyć, oddał go w służbę na dwór szlachecki—tam mu się zmarło. Córka, chorowita, była przy matce.

Na głowie téż i na ramionach Salomonowa miała dom i wszystko...

Kobieta była zahukana, cicha, pracowita, biedna —którą mąż mało cenił, za stokroć wyższego się

od niej mając. Ona też wierzyła w niego i wenerowała w nim geniusz nieoceniony.

Od rana do wieczora, pomimo swych lat czterdziestu kilku, pracowała nieustannie. Sługę mieć mogła rzadko... czasy były ciężkie.

Niekiedy pomógł ktoś z łaski lub za kawałek chleba, najczęściej ona musiała w domu robić wszystko. Myśleć aby było co jeść, zgotować jedzenie, dziecko chore opatrzyć, dworek oporządzić, ogrodu dopilnować, na targ pójść, bieliznę wyprać...

Więc ledwie w niedzielę czasu stało na ranną mszę świętą, a była pobożną. Pacierze swe odmawiała chodząc, przy robocie... Tymczasem Salomon albo pracował lub leżał, albo na rybę szedł, z czego, oprócz płotek i małego szczupaczka, żadnej korzyści nie było; — albo, gdy nie miał się czém zająć, gadał i żonę do słuchania zmuszał.

Był bowiem z natury językiem dzielny. Słuchać go było tylko. Umiął mówić o wszystkiém, rozumiał wszystko, sądził o każdej rzeczy, śmiał się i szydził — ale do roboty...ciężko mu szło...

Zabierał się do niej długo, a niecierpliwił przy niej prędko. But czasem wyklepawszy, zszywszy, gdy mu był nie po myśli, cisnął nim w kąt i gotów był porzucić w kawałki.

Winien był zawsze — but sam, nie on, podła dratwa, nikczemna skóra, psia noga — kopyto szelmowskie — tylko nie majster.

Z tego jasno się okazuje, że Salomon nie urodził się na szewca.

Zaszła omyłka, daleko wyżej miał powołanie, a los zawistny posadził go na tym stołku męczeńskim.

I na nim nieborak posiwił, konsolując się bardzo często powtarzanym aksjomatem.

— Kiep świat!!

Dworek Bardzickiego leżał w Błotkowie na nizinie...

Na wiosnę woda zajmowała ogródek... Samo domostwo było stare, w ziemię wklęsłe, z jednego boku podparte; dach łatan co wiosna a pomimo to zaciekał.

Gdyby nie staranie Salomonowej, życie w nim byłoby bardzo niewygodne; ale kobiecina dawała sobie rady jak mogła. Jej ręce i ogródek więcej przynosiły na życie niż praca Bardzickiego.

Z tych kilkunastu zagonów czasem się coś sprzedało, a ciągle coś brało na kuchnię.

Pod płotem zasiewała trochę lnu nawet; parę grządek cebuli stanowiły dochód pewny, gdy się z nią poszcęciło. Salomonowa nawet z kopru

i maku umiała coś wyciągnąć. Cały Boży dzień, szczególnie w lecie, była na nogach; zimą przędła.

Z kądzielą umiała się obchodzić mistrzowsko, — tylko to jedno jój utrudniało przędzenie, że siadała do niego zawsze niezmiernie znużona, więc często się zdrzemywała.

Było to jakoś w lecie.

Salomon od dwóch dni ryby łowił.

Kobiecisko krzątało się w domu, samo, bo córka Teklusia, lat mająca około dziesięciu, słabowita, ledwie jój w czém mogła być pomocą. Kaszłała pomimo ziółek, które jój baby dawały; żółta była, chodziła jak senna — a najmniejszy chłód jój szkodził.

Ponieważ studzienka w ogrodzie, stara, bardzo brzydką, błotnistą wodę dawała, po lepszą chodzić trzeba było o kwadrans drogi...

Salomonowa tylko co zadyszana z wiadrem wróciła, a było to pod wieczór, gdy ujrzała idące ulicą dziewczę, które się czegoś u ludzi dopytywało.

Sąsiedzi dziewczęciu dworek Bardzickich pokazywali.

Wyrostek mógł mieć lat dziesiętek, ubogo ale schludnie przyodziany. Szło to biedactwo nie-

śmiało, trwożnie, a Salomonowa dziwowała się patrząc, że wprost do niej idzie.

I dziewczę podeszło bliźiutko nie mówiąc nic, schwyciło za rękę zapracowaną, pocałowało... i odezwało się cicho.

— Maryś Myszkówna...

Salomonowa nie zrozumiała zrazu, patrzyła z osłupieniem.

— Maryś Myszkówna, — powtórzyła dziewczyna i stała drżąca.

Nierychło kobieta w ręce plasnęła.

— Jezusie Nazarański! a ty tu co robisz...

— Podkomorzyna umarła; załkało dziecię.

— Masz tobie!!

— A nas rozpędził, — dodała Maryś.

Salomonowa głową i sobą poczęła rzucać w lewo i prawo.

Stały tak chwilę; dziewczę płakało, pomysławszy wzięło znowu rękę Salomonowej i, całując ją — rzekło:

— Weźcie mnie do służby...

Wniosek ten tak się wydał biednej kobiecie dziwnym, że nań odpowiedzieć nie umiała.

Spojrzała tylko wzrokiem litości pełnym i jakiegoś wstydu; przykro jej było przyznać się do swojego ubóstwa. Uczucie to jednak trwało tylko

krótką chwilę, nie umiała kłamać i nie mogła, a o ile mąż jej wymownym był, tak ona nie-miejętna w użyciu słowa.

— Moja Maryś — rzekła — czyż to mnie sługi trzymać, myślisz? Człowiek ledwie sam się wyżywi.

— A jakże wy, bez sługi? spytało dziewczę.

Stara wyciągnęła dwie zapracowane ręce grube i pokazała je.

— Ot, sługi moje!

Dziewczę stało zmieszane.

— Proszę majstrowej — a wodę, a drwa kto nosi... a posłużyć...

— Patrzaj-że, toćem wiadro sama przytaszczyła!! zawołała Salomonowa. Czémże bym ja opłaciła sługę? U nas często z chlebem i strawą dla siebie bywa skąpo...

Westchnęła ciężko.

— Boże miłosierny! I ciągnęła dalej, patrząc w dal osłupiałemi z jakiegoś znużenia oczyma.

— Prawda, czasem się na kilka godzin weźmie kogo do pomocy — chłopą z targu za kieliszek wódki, kobietę z tych co przy fabrykach cegłę noszą... ale to tyle wszystkiego...

Maryś słuchała.

— Moja pani Salomonowa — rzekła po namyśle. Jużci uchowaj Boże, abym ja wam była ciężarem, i narzucała się, — ale mnie płacić byście nie potrzebowali. Przyodziejki sprawiać téż rychło nie potrzeba, bo nam, co nieboszczka dobrodziejka dała, nie poodbierali. Jeść ja dużo, nie jem... a posłużyć mogę — jak każecie.

Bo ja powiem majstrowej dobrodziejce, po całej szczeroci — tu się na łyzy jój zbierać zaczęło — nie mam się gdzie podzieć, choć do myszj dziury... Nikogo nie znam... Gdzie ja pójdę? ach... Boże miłosierny!...

Salomonowa spojrzała na płaczącą i żal się jój zrobiło, łyzy także poczuła w oczach.

Ręce załamała, — milczała.

Maryś mówiła dalej żywo; znowu ją po rękach całując.

— Niech majstrowa ino spróbuje... jak będzie ciężko... ja sama pójdę...

Stara byłaby się pewnie sama w sprawie tak ważnej nie ośmieliła nic począć, gdyby niespodzianie wcale nie nadszedł majster, który już zdala dziewczę zobaczył.

Szedł odarty, boso, z torebką mokrą na plecach, z więcierzem na ramieniu, w humorze dobrym, i — nim żonę przywitał — począł.

— Co to za dziewczyna? czego ona chce?

Maryś, uląkłszy się, odstąpiła na stronę.

— A! to — biedota... ot, Myszkówna, sierota po Ronimie... wiesz... co ją podkomorzyna wychowywała z litości. Słyszę się jój zmarło, a synowiec, szelma stolnikowicz — wiesz, precz sieroty wygnał.

— Huncwot! zawołał majster rękę podnosząc do góry — jucha! Otóż to te panowie — że na nich niema prawa ni sprawiedliwości!

— Majątek bierze cały, szepnęła Maryś, ale sieroty, nas... het, rozegnał.

— Ja jego znam! ale! począł szewc — hołysz był! wszystko stracił... dorwał się tłustego połcia... sam by go chciał zezreć.

— No — i co ona pocznie? zapytał zwracając się do Marysi.

Salomonowa ani ona mówić nie śmiały.

— Jabył gdzie bez pieniędzy służyła — szepnęła Maryś — za kawałek chleba.

Szewc się zamyslił.

— A co? bąknął — jakbyś ty ją wzięna, — raz wraz baby przynajmujesz?

— Pewnie, rzekła Salomonowa — a no z przeżywieniem u nas?

Szewc ofuknął.

— E! e! Zaraz te babskie lamenty, jak nie będzie co jeść, to i ona z nami głodem przymrze...

I rozśmiał się zaglądając do torby, w której rybki podskakiwały.

— A no — wieczera gotowa — rzekł pokazując torbę... i jutro na obiad zostanie.

Takim sposobem Maryś się dostała do Salomonowej.

Na dobrej woli nie zbywało jej, ale siły trzeba było wyrobić.

W Koralówce, u podkomorzyniej, życie było skromne ale dostatnie, pracy wielkiej nie wymagano. Dziewczęta siedząc, większą część dnia szyły, cerowały, robiły pończochę, obrabiały ścierki, zwijały nici... Tu robota, gruba i ciężka, sił, ruchu i narażania się na powietrze i wilgoć wymagała... Pościel była licha, sen krótki i niespokojny, bo do chorąg Teklusi musiała wstawać, wyręczając Salomonową. Chcąc za przytułek opłacić, zmagala się nosząc wodę, drewka z góry na plecach... myjąc garnki, zamiatając izbę.

W pierwszych dniach, przy nędznej a nie obfitej strawie, dziewczę upadać zaczęło na siłach, ale trzymało się jak tylko mogło. Powoli przyszło nawyknienie, ciało się nałamywać zaczęło do nowych warunków, i Maryś się zahartowała.

Salomonowój z nią było tak dobrze, tak lekko, iż panu Bogu za ten dar dziękowała, nie śmiejąc się ani przyznać do tego ani okazać.

Teklunia, chora, w towarzystwie prawie jednolatki uczuła się weselszą i żwawszą.

Salomonowa mogła przynajmniej choć na jakie pół godziny na ławie usiąść, spocząć, tchnąć.

Przytém Maryś jadła niewiele, a nie kosztowała prawie nic.

Jedyną troską majstrowój było, że dziewczynie się co lepszego może trafić, a losu jój zawiązywać się nie godzi... Była bowiem zręczna do robót kobiecych... a nawet i haftować umiała, — choć tu się z tém popisać nie mogła.

Nadeszła zima.

Maryś coraz się lepiej do życia przyzwyczajała. Miała to szczęśliwe usposobienie, że nie piszczała nigdy, wesolą była zawsze, Teklusię, starą i Salomona rozbawiała. Ani głód, ani chłód, ani małe przeciwności nie odbierały jój tego dziecinnego wesela.

Stary Bardzicki ją nawet lubił i mówił:

— Walna dziewczyna!

Jakoś po N. roku właśnie się zebrało na najtęższe mrozy, a kożuszka nie miała Maryś w swój wyprawie. W lekkim przyodziewku, z nogami po-

obwiązywanemi dla mrozu, chustką okręciwszy szyję i głowę, niosła do chaty obmarzłe wiadro wody, gdy — posłyszła za sobą sykanie.

Znajomości w ogóle miała mało, — długo też nie biorąc tego do siebie, nawet się nie oglądała; ale sykanie tak było uparte, że w końcu, postawiwszy wiadro, obejrzała się.

Na koniku grubym a zażywnym, z sierścią zimową, stał nieopodal mężczyzna okutany opończą, w czapce baranięj na głowie i butach długich. Kołnierz postawiony do góry i czapka na czoło nasunięta, ledwie dozwalały widzieć mały nos zaczerwieniony od mrozu — i uśmiechające się usta.

O mało pośliznąwszy się nie padła, poznawszy Staszka.

On to był wistocie.

Podbiegła ku niemu, a ten już z konia zsiadał.

Śmieli się oboje do siebie, z początku nie mogąc przemówić słowa. Maryś poprawiła chusty około szyi, czerwonymi jak buraki rękoma, Staszek się z nogi na nogę przewalał.

— Co Maryś tu robił

— Co! tak jakem mówiła — poszłam jak w dym do Salomonowej. No — i przyjęli mnie...

Spojrzała na niego.

— A wy zkąd!

— Ja tu o trzy mile u Jagmina, na wsi—przy dworze do posyłek, ta... i przy stajni... A co było robić.

— Dobrze tam?

— A no — połatawszy—rzekł Staszek. Już-cim się na wieczność nie zapisał im... Patrzę czego lepszego, tymczasem—atł! Poprawił czuprynę i rozśmiał się. No — a Maryś!

— Co ja mam powiedzieć! westchnęła. Dobrze, nie dobrze — już się do nich przywiązało jak do swoich. Biedę klepię...

— Maryś by gdzie we dworze, przy garderobie lub kawiarni, znalazła miejsce... rzekł Staszek. Jaby'm napatrzył... u Jagmina nie, bo kawaler...

— Daj pokój! westchnęła dziewczyna. Ja o tém nie myślę... Co tam!

Przypomniała sobie wiadro.

— A—Boże mój, a tam Salomonowa na wodę czeka... bo ostatnią kroplę wylałam. Trzeba śpieszyć.

Staszek podszedł.

— Jak będę przejeżdżał—rzekł, to się dowiem. Bywaj zdrowa, Maryś.

I już szedł do konia, ale się odwrócił.

— Słuchaj—ta—rzekł—u was może bieda...
a u mnie grosz choć jaki się czasem zapłata...
Gdybyś potrzebowała na co...

Maryś zarumieniona ruszyła ramionami, wiadro już podnosząc.

Spojrzała nań wdzięcznie i odparła:

— Nie trzeba nic — nie trzeba!!

Staszek stał jeszcze przy koniu, zamyśliwszy się, rękoma przebierał w grzywie; powoli ściągnął lejce, siadł i pojechał.

Przyszedłszy do dworku Maryś, siadła pod piecem zadumana.

Pod wiosnę wzmógł się jakoś kaszel Teklusi, przyszły baby, dały ziółka, położyło się dziecko. Uproszono doktora, który przyjechał, dom znalazł wilgotnym, powietrze złe, głowę potrząsł i coś zapisał. Dziecię chorowało — i pierwszych dni marca zasnęło na wieki.

Salomonowój od zwłok córki oderwać nie było można. Po pogrzebie legła chora.

Na Maryś spadła cała praca w domu, bo stara się ruszyć nie mogła, — i jój potrzeba było pilnować.

Bardzicki z desperacyi siedział po całych dniach w szynku.

Maryśce sił nie stawało, ale się krzepiła jak mogła. Najgorzej było z Salomonową, która już do siebie przyjść nie potrafiła; siły się jej wyczerpały... coraz było z nią gorzej. Sprowadzono księdza... a jedyną soboty w nocy, gdy szewc powrócił do dworku późno, zastał dwie stare baby zajęte około ciała, a Maryś w kącie zanoszącą się od płaczu...

Bardzieki na widok trupa nie mógł już nawet łzami ulżyć sobie, stał jak martwy; potem na ławie siadł, mruczał, jęczał i zasnął.

Maryś z żalości wielkiej nie wiedziała co się z nią działo. Babom, które się zajmowały pogrzebem, nie umiała nawet powiedzieć, gdzie czego szukać było potrzeba.

Ksiądz i bractwo, do którego należała Salomonowa, pochowali nieboszczkę. Za trumną szedł mąż i dziewczę zapłakane.

Co teraz było począć!.

Babki, które towarzyszyły na cmentarz konduktowi, Maryś odprowadziły do domu. Tu pusto było i zimno, nawet drew brakło, by ognia rozpalić. Jedna z kobiet nie wiadomo z kąd trzasek trochę w fartuchu przyniosła.

W spiżarni, oprócz garstki mąki, nie było nic...

Majster z pogrzebu, czy go ludzie pociągnęli gdzie, czy sam powędrował i zapomniał się, na noc do dworku nie powrócił. Jedna z babek, która téż pono, oprócz szpitala przy kościele, innego nie miała domu, została na noc przy Marysi, jak się potém okazało, by korzystając z jęj nieprzytomności i łez, sprzątnąć co się dało, chwycić po nieboszczce: trochę gałganów, parę butów i lich-tarz stary mosiężny.

Z tém baba się wyniosła rano. Maryś zaczęła się rozglądać po domu i rozmyślać, co ma dalej robić z sobą.

Szewc dnia tego nie wrócił wcale, nie wrócił i nazajutrz, nie było go i potém. Jak w wodę wpadł.

Jedni mówili, że na wędrówkę poszedł na Wo-lyń, czy na Polesie, drudzy że w przerębel sko-czył i utopił się.

Słowem, Maryś została sama.

Ogarnął ją niepokój wielki. Wprawdzie jedna z bab ofiarowała jęj się do posług, lecz spostrzegłszy, że po nieboszczce dużo rzeczy brakło — nie mogła jęj przyjąć. Zawarłszy więc dom, poszła na plebanią, do księdza, na radę.

Wypadek był szczególny — rada trudna. Na-leżało czekać na powrót Bardzickiego, bo w jego

samobójstwo ksiądz wierzyć nie chciał. A że mu się na baby poskarżyła Maryś, pomedytowawszy, kazał ze szpitala zwołać starą Dosię, o której wiedział, iż uczciwą była a poradną, i tę sierocie dał do dozoru.

Owa Dosia, baba lat ze siedmdziesiąt mająca, kozak była urodą, siłą, zdrowiem i żywością. Nie lękała się niczego, gębę miała, że jej nikt nie przegadał i naturę taką, że nie wierzyła nikomu.

Była to jej jedyna wada. Nawykła życiem obawiać się wszystkiego, podejrzывała każdego, domyślała się zawsze najgorszych zamiarów—pilnowała się niezmiernie. Zresztą żwawa była do zbytku, pracowita i gadatliwa.

Przybywszy do dworku — poczęła od tego, iż go zrewidowała jak najskrupulatniej.

— Żeby potem nie powiedzieli, że ja co, uchowaj Boże, zwędziła.

Maryś miała kilka groszy, za te kupiono chleba, omasty, mąki... a po kątach i na półkach znalazły się biedne szczątki zapasów... Nie mogły więc z głodu zemrzeć.

Ponieważ len i kądziel była, radziła Dosia praść, ale Maryś nie umiała, i ona też ręce już miała zgrubiałe i odwykłe.

Łatały bieliznę jaka się znalazła, i śpiewały goździnki, które baba na pamięć umiała.

Sąsiedzi i sąsiadki, zwabione szczególnie ciekawością co się z Bardzickim stało, zaglądały do dworku.

Przyszedł i sołtys.

Ten siadłszy na ławie, wdał się w długą rozmowę z Dosią, i wyraził swe przekonanie, że Salomona ludzkie oczy już nie ujrzą.

— Ja jego z małości znałem, rzekł, zawsze był szalony... W świat pójdzie, albo... gorzej.

Jakby się okazało, że go nie ma... familii nie mieli, dziewczynie, którą przy sobie trzymali, chatę oddamy. Ale co ona tu z nią pocznie. — Ona też jak palec?

Maryś słuchała z kąta, nie odpowiadając nic.

Sołtys wygadawszy się odszedł.

Upłynął tydzień, dwa, Dosia już była jak w domu. Szewca ani słychu. A tu się na wiosnę zbierało nie żartem.

— Co myślicie? odezwała się Maryś jednego ranka, gdy słońce zabłysło; — a toż drudzy po ogrodach robią? Jabym też poszła grędy kopać i opatrzyć co potrzeba. Juścić tak ogrodu zapuścić — nie godzi się.

— Tać! — odparła Dosia. Ale co tu kopać? czémże zasiać? czém zasadzić? Tu ani pruszyzny w domu niema.

— Na strychu, jeśli myszy nie zjadły, nasienie jest... bo Salomonowa je pochowała.

Poczęła się tedy robota w ogrodzie, dla kogo? Bóg raczył wiedzieć. Starój Dosi czasem się zdawało może, iż chata i ogród do niej należały; Maryś zawsze wyglądała powrotu Bardzickiego, o którym słuchu nie było.

Już zieleniało w polu, gdy pewnego dnia zapukano do okna. Stara była sama około pieca... Wyjrzała... Chłopak stał, konia trzymając za uzdę i rozpatrując się około dworku.

— A Maryś gdzie? spytał.

Dosia naprzód obejrzała pytającego, nim mu wskazała na ogród... Tymczasem już, głos pono usłyszawszy, biegło dziewczę do sieni — i stanęło, ucieszone widokiem starego towarzysza z Korakówki.

— Co mnie tu w karczmie powiadali, — począł Staszek; — czyż to może być — sama zostałeś w chacie?

— Ale tak! Majster może powróci.

— A teraz co? rzekł przybyły.

Maryś westchnęła.

— Widzicie! Ksiądz mi dał oto dla opieki, — wskazała babę; i we dwie biedujemy.

Ale gdy pan Bóg ciepło da, biedy wielkiej nie będzie... Kur kilka zostało... z ogrodu się coś sprzeda...

A wam jak? zapytała.

Staszek się rozśmiał.

— Nie zgorzój, rzekł. Dowiedzieli się, że pisać, czytać umiem, przy pisarzu pomagam. Ze stajnim się uwolnił.

— U tego pana co i dawniej?

— U niego.

Maryś przyjmować czém nie miała... wstyd jój było.

— A co dalej, jeśli szewc nie powróci? zagadnął Staszek.

— Albo ja wiem? szepnęła Maryś...

— Jak Bóg miły szkoda was na tę pustkę... bo się zapracujecie jak chłopka—rzekł Staszek...

Was by ztąd wyciągnąć.

— A nuż Bardzicki wróci— domu tak porzucić nie mogę...

Dosia wdała się w rozmowę gorąco, bo jój szło wielce o to, aby w dworku pozostać.

— Cóż tu złego? zawołała—ona tu jak u siebie. Sama sobie pani. Z głodu nie pomrzemy! Z dworku nikt nie wypędza.

— Na całeż życie w nim nie zostać! rzekł chłopak.

Maryś nie wiedziała co rzec na to; milczała.

Staszek chwilę jeszcze popytał o to i owo. Skorzystała z tego baba, aby się poskarżyć, iż im nasion i wysadków brak będzie; a gdy Maryś na chwilę odeszła, dobył chłopak dwa talary i oddał je babie na to... co najpilniej było potrzebne. Stara popatrzyła nieufnie na pieniądze, wahała się z wzięciem ich, wreszcie schowała.

Staszek, prawie nie żegnając się, odjechał precz.

Upłynęło lat dwa.

Salomon nie powrócił i wszyscy byli tego przekonania, że — jak się wyrażali szydersko, — do Gdańska popłynął. Mówiono o nim czasami, powrotu nikt się nie spodziewał...

Dworek po nim pozostały, do którego nikt się nie przypytał, wcale teraz inaczej wyglądał.

Trudno było uwierzyć, aby dziewczyna, prawie dziecko, z małą pomocą stariej baby, takich cudów mogła dokazać. Lecz, jest-to prawdą niezaprzeczoną, że człowiek zostawiony bez opieki, sam sobie, zmuszony myśleć i pracować, dojrzewa

prędzój, domyśla się rzeczy wielu, uczy sam — słowem, wyrabia w sobie siły, którychby nie miał, gdyby go los pieścił i służył mu.

Maryś była osobliwszém dzieckiem, a choć na nie wyglądała jeszcze, bo tylko że jój wzrostu dużo przybyło, ale chuda była i niezgrabna, — dawała sobie rady jak stara.

Dosia ociążała nieco, lecz wielką jój téż była pomocą. We dwie z opuszczonego dworku zrobiły domek schludny, a w ogrodzie tak gospodarowały, iż piękniejszego w Błotkowie nie znalazł.

Drobiu hodowało się mnóstwo i bardzo szczęśliwie. Kur liczba urosła do kilkudziesięciu, a nawet dwie gęsi obiecywały, chodząc na skrawku łąki w dole ogrodu, że i one będą głowami rodziny.

Roboty nie było tak wiele, by i szyć i prząść i pończochy robić wieczorami Maryś nie miała czasu. Czytywała téż na głos z książki nabożnej Dosi, która, jeśli się nie zdrzemnęła, słuchała.

Prosta kobieta, owa towarzyszka dziewczęcia, wprawdzie może zawczasu wtajemniczała ją w życie i odkrywała strony jego mniej jasne, — lecz że była uczciwą i pobożną po swojemu, nie popsuła w niej tego, co od podkomorzyniej z Karółki wyniosła.

W ciągu tych lat dwu razy ze sześć zaglądał tu Staszek.

Odwiedziny te jego były babie zrazu podejrzane; przyjmowała go nachmurzona i dawała do zrozumienia, że mogłyby się obejść bez nich. Choć Maryś była dzieckiem, a Staszek wyrostkiem, przyjaźń ich braterska wydawała się babie nie bardzo bezpieczną.

Lecz Staszek bawił krótko, a pomagał wiele, i ile razy się tu zjawił, baba na chwilę ich samych nie zostawiała.

Półśłówkami potem Maryś starała się ostrzegać o bałatmutności mężczyzn w ogóle; z czego ona się śmiała serdecznie.

— Toć on mi jak brat, mówiła staréj, my się razem w jednym dworze chowali. Czego ja się mam obawiać??

Dosia milczała już.

W ciągu tych lat dwu, pomocnik pisarza wprowadził się do téj funkcyi, i—otrzymał miejsce znacznie dalej u Borzęckich. Nie tak mu łatwo teraz było zajeżdżać do Błotkowa.

Zdawało się, że już Maryś miała spokojnie zostać na swoim gospodarstwie, choć ona sama żadnego prawa do niego sobie nie przyznawała, gdy okoliczność zaszła, która nagle położenie zmieniła.

Wiadomo jak u nas w kraju powolnie się wieści rozchodzą, a od miasteczka do miasteczka niżeli dojdzie wiadomość, kto tam zmarł lub ożenił się, upływają im często lata.

O rodzinie Bardzickiego w Błotkowie nikt nie słyszał, on sam nigdy o niej nie mówił. Wypadkiem żyd z Błotkowa na jakiś jarmark pojechawszy do Łomaz, o szewcu który znikł opowiadał. W tém z kąta wyrwał się ktoś, jako jego brat stryjeczny, i o dworku zaskłyszawszy, wnet się zabrał go rewindykować.

I jednego dnia, ni z tego ni z owego zjawił się w Błotkowie opasły mieszczanin, z papierami za nadrą, który się wylegitymował, jako prawy spadkobierca.

Wszedłszy do dworku, dziewczynie, którą tu zastał, zapowiedział z góry, żeby się sobie wynosiła gdzie chciała.

Maryś, która dawniej spodziewała się tego, potem ubezpieczona poczęła się uważać jakby panią domu, przywiązała się do chaty i ogródka, o mało z żalu i rozpaczyny nierozchorowała się.

Bardzickiego z Łomaz nawet proboszcz, który się w to wdawał, uchodzić nie mógł: dziewczyny przybłąkanć ani znać, ni o niej wiedzieć nie chciał. Z największą trudnością wymożono na

nim, że za pracę podjętą około dworku pięćdziesiąt złotych dać się zgodził.

Wymagał zaś, aby natychmiast precz ustąpiła. Gdzie tu się podzieć było?

Dziewczę płakało, radzić sobie nie mogąc, gdy dnia jednego przysłano po nią na probostwo.

Tu zastała Maryś poważną matronę, rumianą, otyłą, wesołej twarzy. Była to pani łowczyzna 'Suzinowa.

Znała ona niegdyś dobrze podkomorzyne, a teraz opowiadanie proboszcza wzbudziło w niej litość nad dziewczęciem.

Kazała sobie naprzód opowiadać historią szewca i szewcowej i pobytu we dworku.

Roztropność dziewczęcia wielce się jój podobiała.

— Słuchaj-że, moje dziecko, odezwała się do niej, jeżeli chcesz statkować, a pracować—u mnie w garderobie miejsce ci dam. Zobaczymy co umiesz... Odemnie już niejedna dobrze zamąż wyszła; ty masz czas i wykrzesać się i nauczyć, bo tobie do tego jeszcze daleko.

Maryś za kolana ją ścisnęła, płacząc. Łowczyzna trzeciego dnia obiecała przysłać furmankę po nią.

Daleko stosunkowo gorzej było dla starój Dosi, która do szpitala przy kościele powrócić musiała,

ale co się nakłęła spadkobiercę z Łomaz!! tém się mogła pocieszyć...

Obiecana furka przyszła wistocie od p. Suzinowój, i Maryś pojechała, płacząc, bo się jēj bardzo z dworkiem rozstawać było boleśnie.

W parę tygodni potém — gdy już Bardzicki opasły objął był dziedzictwo i rządził się w nim, poczynając od tego, iż dach dranicami na nowo kryć kazał — nadjechał nieznajomy młokos i stanął przed dworkiem.

Wyszedł ów opasły, opryskliwie pytając czego tu chciał. Staszek — gdyż on to był — zapytał o Maryś.

— Poszła zkąd przyszła! zawołał Łomazki, zły, że jēj pięćdziesiąt złotych dać musiał.

Staszek téż niedobrym się zrobił, gdy posyłał odprawę. Od słowa do słowa, grubo się powaśnili. Skończyło się na tém, że mieszczanin zaczął się do konia z pięściami przysuwać, a Staszek batóg podniósł do góry.

Do wojny jednak nie przyszło i, z daleka na siebie pociski rzucając, rozstali się; a Staszek, który się tu o dziewczęciu nic dowiedzieć nie mógł, dopiero od sąsiadów o babie dostał języka, a tę znalazłszy w szpitalu, od niěj o losie Marysi się dopytał.

Dwór państwa łowczych znał on z opowiadań, bo sąsiedztwo to było z Jagminami.

Jak tu się było mu dostać?

Nie po drodze i daleko,—musiał na inny czas odłożyć.

Marysi pan Bóg błogosławił, bo weselszego przytułku, po samotnie spędzonych dniach we dworku — nigdzieby pewnie nie znalazła.

Łowczy sam, pani łowczyna, dwie panny łowczanki ludzie byli choćby do rany przyłożyć. Wszyscy oni hypokondryków i melancholików nie cierpieli i brzydzili się nimi. Łowczy śpiewał cały dzień, łowczyna przez pół dnia się śmiała, panienki były trzpioty wesolutkie.

Trafił się gość, a do panien dorosłych i majątnych przyjeżdżało kawalerów mnóstwo, przyjmowano serdecznie, śmiano się jeszcze głośniej zrywano do tańca... Niewiele im tam do tego potrzeba było. Kapela była domowa, bo kreden-cerz grał na skrzypcach, a na wsi mieli basetlistę.

Łowczyna téż robotą nie przeciążała nikogo, i najczęściej, głaszcząc po głowie, mawiała:

— Odpocznij bo sobie, moje dziecko.

Ładu wielkiego nie było, ale pobożność serdeczna, dobroduszność wielka, dla ludzi łaskawość—

byle posępnych twarzy nie widzieć i jęku nie słyszeć.

Wiejscy ludzie tak tę naturę państwa znali, że czasem zmuszali się do płaczu, bo nim wszystko było można wyrobić.

Jeżeli się co trafiło niepomysłnego, o co na świecie nie trudno, trzeba było widzieć do jakich sofizmatów rzucał się Łowczy, jak przekonywających argumentów zażywała jójmość, aby strapienie conajprędzej odpędzić:

„Bóg dał—Bóg wziął” „Głowę muru nie przebijesz”. „Zbytnim smutkiem pana Boga obrażać nie trzeba”...

Łowczy, choć nie nadużywał trunku, ale w ostateczności—i „dobrej trunek na frasunek”, wywołał.

Reasumowano w końcu wszystko:

— Nie gadajmy o tém.

I nazajutrz dawne życie się rozpoczynało.

Święta, zapusty, kuligi, imieniny, urodziny, rocznice wszelkie, obchodzono przy wielkim gości i przyjaciół zjeździe, a choć dom był nie zbyt obszerny, miejsca nikomu, jadła ni napoju nie zabrakło.

Łowczy nieprzyjaciół nie miał, i dlatego się w sprawy publiczne nie lubił mieszać, aby nieprzyjaciół sobie nie robić. Powołaniem jego było

godzić, rozbrajać, zbliżać, pośredniczyć, kompromisa ściągać, i obchodzić potem solennie pakta trwałej przyjaźni.

W takim domu i gardereba nie mogła być miejscem pokuty... Łowczanki, jeśli w niej nie siedziały, to wbiegały często, wnosząc z sobą wesele i śpiewki...

Panny były hoże, rumiane silne, zdrowe — i wesołe jak rodzice. Konkury i konkurenci niezmiernie je bawili. Śmiały się z nich, i może dlatego konkury przedłużały. Rodzice też pewni, że córki powydają, nie śpieszyli się ich pozbywać.

Maryś, nawykła do ciszy i do ciężkiej pracy, w początkach nie mogła tego życia zrozumieć. Przestraszało ją prawie. Dostatek był wielki, skąpstwa w niczym, robocie folgowano.

Musiało sobie dziewczę przypominać to, co niegdyś u podkomorzynnej widziało i uczyło się. Szło to z łatwością. Pomimo wesela i dostatku, Maryś prawie żałowała swojego dworku i ogródka. Nawykła była do samotności i ciszy, a dla tych co się z niemi żyli, stają się one nałogiem i potrzebą.

Któż wie? może i ta myśl, że Staszek nie będzie wiedział gdzie ję szukać, albo i nie będzie śniał tu przybyć, przykrą była dziewczęciu.

Choc rzadko go widywała w Błotkowie — ale zawsze miała nadzieję, że się zjawi.

Tu ją postradała prawie, więc tęskno jój było.

Miała do niego rodzaj przywiązania, jakie się rodzi między ludźmi, których losy są podobne i którzy sierotami będąc — na całym świecie siebie tylko mają.

Wiedziała, że w Staszku zawsze znajdzie opiekuna.

Nie prawili sobie nigdy żadnych serdeczności, ni słodczy; ani jedno, ni drugie nie oświadczało się z przywiązaniem, witali się poprostu, żegnali kiwnięciem głowy; — ale Staszek myślał o niej jak o siostrze, ona o nim jakby o kimś z rodziny.

Staszek już dorastał, wás mu się sypać zaczął, i — we dworze, w którym służył, na pokusy różne był wystawiony.

Fraucymer samój pani był liczny, bo się w haftach kochała i trzymała do nich zawsze dziewcząt kilka. Pisarz ze swego urzędu kwalifikował się do umizgów w garderobie. Wszędzie się to praktykowało. Rzucano okiem na przystojnego chłopca, który się uśmiechał, ale na prawdę do żadnej nie przystał.

Wyrostek ten Maryś, jeszcze zawsze trochę dziecinnie i kozowato wyglądająca, wydawała mu

się czémś piękniejszém od innych. Prawda, że przy całej swój niezgrabności, Myszkówna miała pewną powagę, — jakiś wdzięk dziewczęcy, na którym innym, trzpiotowatym dziewczętom zbywało.

Czuwanie nad Marysią wyrobiło w nim jakby poczucie jakiegoś obowiązku...

— Juścić ja jój tak porzucić nie mogę, mówił sobie — bo to sierota mnie jednego ma, na całym świecie... a ja też nikogo.

O tém co będzie dalej nie pomyślał jeszcze — ale stróżem i opiekunem być teraz zdawało mu się konieczném.

Żenić się zaś — ani mu do głowy nie przychodziło jeszcze; — nie miał nawet własnego konia, sukni ledwie dwie pary lepszych, grosza wcale. I wiek też był nie potemu.

Było to więc z obu stron przywiązanie szczególne, na pozór chłodne, a jednak więcej na wytrwanie stworzone niż gwałtowniejsze namiętności.

Maryś ciągle przemyślała, czy on też się dowie o niej i czy się tu dostanie, — Staszek głowę łamał jakby się to wyrwać i zabiedz do Szerokiego Brodu. Bo i przybyć tak do dworu, dla widzenia się... nie wypadało gładko.

Tymczasem Staszek, któremu się dotąd wiodło, po niedługim pobycie u Borzęckich — został bez miejsca i bez chleba.

Ekonom, od którego zależał, miał własnego krewniaka, którego chciał na to miejsce wsrubować. Podwójnie mu to było potrzebném, raz ażeby mu dać miejsce, powtóre że krewny, zależąc od niego, nie przeszkadzałby mu w gospodarstwie.

Staszek był w spełnianiu obowiązków ścisły, a gdy miał słuszość, upierał się przy swoim. Ekonom dawał mu do zrozumienia kilka razy, że zbytnia w rachunkach ścisłość była nie do rzeczy, a tego on zrozumieć nie chciał.

Zatém, — potrzeba go było wykurzyć. Bełchacki, ekonom, był starym sługą, Staszek nowo przyjętym... Łatwo więc przyszło to i owo znaleźć przeciwko niemu, nagadać, uprzedzić.

Przyszło do kłótni otwartéj z Bełchackim; Staszek miał słuszość, lecz zakłął się stary, że albo on lub pisarz musi precz iść, a p. Borzęcki naturalnie wolał odprawić pisarza niż szukać ekonoma, któryby mu dawnego nie zastąpił.

P. Borzęcki rozumował bardzo logicznie, tłumacząc się z tego przed żoną.

— Bo, widzisz, moja panno, Bełchacki kradnie to niema wątpliwości, ale ja wiem jak i ile, a dru-

gi pocznie mnie oszukiwać w taki sposób, że i skontrolować nie potrafię. Lepiej więc młokosa odprawić.

Staszka tedy wśród roku wypędzono, a mściwy ekonom postarał się o to, aby i świadectwo było jaknajgorsze, gratyfikacya jaknajmniejsza.

Chłopak znienacka znalazł się bez miejsca, okrzyczanym w okolicy za zuchwałego i niezdolnego, z kilku zaledwie talarami w kieszeni;—pieszo... bez widoku żadnego na przyszłość.

O pomieszczeniu się w sąsiedztwie ani mógł myśleć, bo Bałchacki temu zapobiegał; iść służby szukać dalej robiło wrażenie złe... Pytać musieli wszyscy dlaczego tak daleko wędrował za chlebem.

Jakkolwiek położenie było nadzwyczaj przykre—Staszek nie stracił otuchy i nadziei, że sobie da radę. Musiał jednak na razie wyrzec się odwiedzin w Szerokim Brodzie, dla odwiedzenia Marysi, bo mu wstyd było stawić się przed nią pieszo i jak żebrak jaki.

Było to na wiosnę, więc do podróżowania *per pedes apostolorum* niezły czas. Przechodzące deszcze i burze mógł gdzieś przestać pod dachem, a przynajmniej nie marznął. Bogu więc dziękował, że odprawa nie wypadła zimą.

Wędrował nie wiedząc sam dokąd iść, od wsi do wsi, rozpytując po karczmach, czy we dworze pisarza nie potrzebują, zachodząc do dworów, gdy mu jakąś uczyniono nadzieję; odprawiany wszędzie tém, że miejsca były zajęte lub że tak młodego i niedoświadczonego mieć nie chciano.

Pomimo największej oszczędności w ciągu podróży, bo się ograniczał kawałkiem chleba z serem lub słoniną, a pił wodę — mały zapas pieniędzy zaczął się wyczerpywać. Pilno było znaleźć jakiegokolwiek zajęcia, choćby tylko za przeżywienie. Nic się jednak nie trafiało.

Jednego wieczoru, było to w okolicy Białej zbłąkawszy z wielkiego gościńca, zaszedł do wioseczki nędznej, w lasach zaszytej — chcąc w karczmie przenocować. Ponieważ przejazdu tu większego nie było, karczma tylko dla wieśniaków, przeznaczona stała wśród osady, tak że ani jej dojrzeć zdawa, ani wyszukać było łatwo.

Droga, wierzbami i brzozaami wysadzana, prowadziła do wioski. Zmierzając nią do gospody, Staszek napotkał słusznego mężczyznę, w płóciennym kitlu, z kijem w ręku i książką pod pachą. Niemłody już był i wyglądał surowo, zamysłony smutny.

Polskim zwyczajem Staszek go pozdrowił: —
Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Odpowiedziawszy na to stary jegomość, stanął
i zapytał.

— A dokąd-że to i zkąd?

Chłopak odpowiedział, że służby szukał, że się
z gościńca zbił i chciał przenocować.

Od słowa do słowa począł go badać stary. Mu-
siał mu więc opowiedzieć Staszek całą swą historią,
począwszy od wygnania z Koralówki aż do osta-
tniej służby u Borzęckich. Uczynił to z otwarto-
ścią, nie tając nic... Jegomość w kitlu, podumawszy
trochę — rzekł mu:

— Co masz u żyda za piecem nocować, idź do
dworu, na folwark, powiedz, że pan kazał aby cię
na noc przyjęto... Każę ci jeść dać.

Staszek podziękował i w kierunku wskazanym
poszedł do dworu.

Leżał on w bok ode wsi, na małym pagórku i nie
bardzo wspaniale wyglądał. Drewniany, poczer-
niały już, z kilku oknami zakopconemi, przy któ-
rych wisały okiennice, z wysokim dachem, zdawał
się opuszczony i zaniedbany. Dostatku widać nie
było... Cicho bardzo dokoła i nieładno.

Na folwarku też służby niewiele było, i ta się
ociężale poruszała.

Stary bardzo i zgięty tak, że aby ludziom w oczy zajrzeć, głowę podnosić musiał, bo krzyżów rozprostować nie mógł, w szarój kapocie służą, z dużą tabakierą w garści i chustą kraciastą wywieszoną z kieszeni, wdał się z nim w rozmowę. Od niego dowiedział się, że dziedzic, pan Amilkar Żerebiński, niegdyś prawnik i mecenas, człek bezzenny, był dziedzicem wioszczy. — Służący i przyjaciel jego, Dudziński, wychwalał go jako bardzo uczonego, siedzącego całe życie w księgach, ale skarżył się że mu się nieszczęściło.

— Tylko że on o to mało dba — dodał, bo jemu aby się w papierzyskach i foliałach grzebać, choć o kawałku razowego chleba. — Dziwak — ale kiedy mu z tém dobrze...

We dworze nie wesoło było, pusto... i niedostatnio...

W pół godziny Amilkar, który miał tytuł rejenta, powrócił z przechadzki. — Dudziński z tabakierką wyszedł na spotkanie. Potém zanie-siono do dworu wieczerzę, składającą się z mleka z kluseczkami i kawałka odgrzanego mięsa. Toż samo się dostało i Staszкови, którego Dudziński wkrótce potém poprosił do rejenta.

Chociaż dnie były już bardzo ciepłe, w izbie, w której siedział rejent, paliło się na kominie...

Osobliwsza to była, wielka, przestronna komnata, ze stropem starym w kwadraty ubranym, cała zarzucona księgami i papierami. Ogromny stół prawie cały one zabierały, tak, że tylko róg jego ode drzwi, na którym jeszcze obrusik leżał, do jedzenia służył. Przy ścianach stały półki nieporządnie narzuconemi fascykulami i foliantami przepełnione.

Rejent, z rękoma na kolanach, twarzą zwrócony ku kominowi, grzał nogi zastygłe.

Zobaczywszy chłopaka u drzwi, zapytał go naprzód, czy jadł wieczerzę; otrzymawszy podziękowanie rozpoczął rozmowę od pytania, czy pisać umiał poprawnie, czy charakter miał czytelny i dobry.

Szczęściem, Staszek miał przy sobie przepisaną pieśń pobożną, którą mógł pokazać rejentowi.

Rozpatrzył ją on przy świetle kominka i, oddając, nadmienił, że mógł się przespać w izbie naprzeciwko, gdzie był tapczan gościnny i sienik.

Radził potem, aby sobie przez jutrzejszy dzień odpoczął, toby się jeszcze z nim mógł rozgadać lepiej, a możeby się co znalazło...

Ostatnie słowa niewyraźnie wymówił...

Staszek zanocował gdzie mu naznaczono. W izbie stęchliznę czuć było, a i tu polica stała z księgami. Zresztą nago i biednie.

Nazajutrz rano iść nie śpieszył Staszek; dano mu coś przekąsić... Rejent znowu zaprosił do kancelaryi. Tu objawił życzenie, aby mu za dyktandem Staszek coś napisał na próbę...

Siedli tedy...

Musiała próba wypaść niezgorzėj, gdyż rejent odezwał się, że mógłby go wziąć do przepisywania... na jakiś czas — ale wielkiego jurgieltu naznaczyć mu nie może. Utrzymanie jakie takie i gdyby się rok przeciągnęło, dwieście złotych...

— A co do roboty, dodał — godzin trudno liczyć... Wiele ja pracuję, to i ty będziesz musiał... Jeśli ja stary wytrwam—młody tém łatwiėj.

Wprawdzie mylił się w tém rozumowaniu rejent, bo łatwiėj jest staremu, nawykłemu, przy stoliku wysiedzieć dzień cały, niż młodemu, potrzebującemu ruchu i powietrza; — ale Staszek nie miał nic lepszego przed sobą, musiał to przyjąć co się nastroczało.

Stanęła tedy umowa z tym warunkiem, że miesiąc czasu przeznaczony był na wzajemną próbę jeszcze.

Stanęą też samę w której nocował, nazna-
czył rejent amanneusowi—i tegoż dnia zasadził
go do ciężkiej pracy.

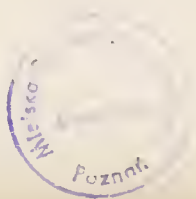
A była istotnie tego nazwania warta, bo od
rana siedzieli przy niej do obiadu; po skromnym
posiłku godzinę dawał spoczynku rejent, poczem
wracali do papierów i siedzieli do mroku.

Wieczorem, przy świetle, już pisania nie wy-
magał, ale sam do późna siedział.

Staszek mógł trochę powietrzem odetchnąć
i przejść się po wieczery.

Pobyty w Wólce u reagenta zapowiadał się spo-
kojny, ale jak w klasztorze cichy, jednostajny
i dla młodego okropny. Pilnowano się godzin
ściśle... fantazyj nie miał żadnych stary i a-
manneusowi ich mieć nie dozwalał. Nudny
był, pedant, drobnostkowy, lecz w gruncie
człowiek dobry, zaschły tylko i jakby sko-
stniały.

Życie w papierach i z papierami uczyniło go
zimnym—wypiło z niego krew, tak że się stał
obojętnym na wszystko co się jego przedmiotu
nie tyczyło. Pracował on nad nowym summa-
ryuszem praw, dokładniejszym nad te które go
poprzedziły i obiecywał sobie z niego nadzw-
yczajne korzyści... sławę i krescytywę.



Oprócz tego miał kilka studyów nad prawniczemi zagadnieniami, któremi swą rejestrową pracę przeplatał.

Te ciągle się na nowo przepisywać musiały...

Staszek albo zżółkłe i niewyraźne arkusze stare musiał decyfrować i przepisywać na czysto, lub pisać pod dyktą, co łatwém nie było, bo rejent dyktował śpiesznie, niewyraźnie, jękał się i zapominał.

Lecz, że się do wszystkiego przyzwyczaić można, zwolna Staszek nawykł i do wymowy rejenta i do żółtych szpargałów, i do utrapionego siedzenia po dniach całych.

Jeden wieczór czasem mu pozostawał, aby wyjść na przechadzkę. Rejent niezmordowany był, a że myśl miał ciągle zaprzątniętą jedném, przychodziły mu czasem korekty w nocy i do tych dyktowania budził chłopca.

Było to, prawdę rzekłszy, męczeństwo — lecz nie innego nie widział przed sobą, biedny chłopiec.

Zżółkł, zmizerniał, posmutniał, skarżąc się tylko na to, że nie wiedział co się z Marysią działo i że do niej dostać się nie było podobna.

Maryś w domu państwa łowczych rozkwitała jak różyczka.

W téj atmosferze dostatku i wesela pierwszy raz w życiu było jéj tak dobrze, tak swobodnie, że życie wydało jéj się błogosławieństwem Bożém.

Wszyscy w tym domu byli serca otworzystego, potrzebującego kochania i starającego się o miłość. Panny łowczanki obchodziły się z sierotką niemal jak z siostrą, obdarzały ją czém mogły, a nadewszystko obejściem się serdeczném... Łowczyna prawie pieściła.

W ciągu niespełna roku na tym chlebie wiejskim, którego nie wymierzano, a było go podostatkiem, śmiejąc się i biegając z panienkami, Maryś rozwinęła się, wypiękniała, odżywiła i umiała w domu zająć takie miejsce, iż się bez niéj obejść było trudno.

W prawdzie haftowała niby w krosienkach z obowiązku, pomógłszy się panienkom ubrać—ale rzadko jéj pół godziny dano wysiedzieć w miejscu. Doświadczywszy, że się na nią spuścić było można, łowczyna posyłała z kluczykami do apteczki, wyręczała się nią w spiżarni, komenderowała do ogrodu... Panny brały ją na przechadzki.

A że u podkomorzyny dobrze się pisać nauczyła, nawet obowiązki sekretarza pani i pana łowczego spełniać musiała.

To ją powoli z garderoby przeprowadziło do pokojów. Kazano siadać do stołu — nawet przy gościach.

Wszyscy znajdowali, że obiecywała się być bardzo piękną — bo już nią była; — łowczyzna zaś dodawała, gdy wyszła Maryś z pokoju:

— To fraszka że dziewczę hoże, ale stateczne i główka co się zowie... a serce bardzo dobre. Biedy przycierpiała dużo... to też nad wiek ma doświadczenia i statku.

Trafiła się rzecz zabawna, iż stolnikowiec Pruchno, który dotąd sobie, pomimo odziedzczenia Koralówki, nie mógł żony znaleźć, zaślubił raz do państwa łowczych.

Doktor Miller trochę mu jakoś z nóg puchlinę spędził, poruszał się rażniej i koniecznie chciał się żenić. A miał wielkie pretensye do młodości i posagu, tak że gotów był do starszej łowczanki w konkury.

Śmieszném to było, i śmieli się z tego wszyscy, ale nie mniej przyjąć go, gdy przyjechał, musiano. Dnia tego Maryś nie chciała iść do stołu. Zmusiły ją panny do tego.

Wpadła w oko piękna twarzyczka stolnikowiczowi...

Spytał o nią łowczyńę.

— Asindziej ją przecie znać musisz, bo była wychowanką nieboszczki podkomorzyny, i jest jedną z tych... które z Koralówki potem w świat poszły...

Zaczął się, jękając, tłumaczyć Pruchno ze swojego postępowania, — lecz wkrótce po obiedzie bardzo kwaśny wyjechał.

Łowczy, wyprowadzając go w ganek, jeszcze mu grzecznie dopiekał, że tyle ładnych dziewcząt tak się pozbył niemiłosiernie.

I tyle go w Szerokim Brodzie widziano.

Wśród tego szczęścia swego, opływając we wszystko, jak pączek w maśle, Maryś nie jeden raz myślała co się ze Staszkiem działo. Spodziewała się go ciągle, tęskniła, w końcu się i pogniewała.

— Żeby téż nawet nie dać znać o sobie! myślała.

Nie było żadnej wieści.

— Co się z nim stało? może służbę stracił? może umarł?

Ta ostatnia myśl trapiła ją bardzo, lecz przypuszczać jej nie chciała, nie mogła, odpychała

ją. Bo choć miała tak łaskawych opiekunów w obojgu łowczowstwie, zawsze ten Staszek dla niej był jakby rodziną, jak bratem.

Rozmaitemi mądrymi środkami, nie zdradzając się, potrafiła sobie wydostać wiadomość, że Staszek miejsce u Borzęckich stracił, ale gdzie się udał nie było nikomu wiadomo. Domyślała się już, że gdzieś daleko za służbą wędrować musiał.

Smutno jój było.

— Lecz żeby też się nie zgłosić! powtarzała sobie...

Po upływie roku już się nawet przestała spodziewać wiadomości, gdy przez niewiadomo jakąś okazją, spóźniony o dwa czy trzy miesiące, nadszedł list od chłopaka. Donosił on gdzie był, co robił i że mu było smutno bardzo... a co dalej ma poczynać nie wiedzieć...

Maryś zebrała się na odpowiedź przez okazją, z pomocą arendarza — a list, z rąk do rąk wędrując, w kilka miesięcy doszedł wprawdzie Staszka, ale gdy się go już nie spodziewał, — zbrukany, rozpieczętowany i podarty.

Dwa lata upłynęły w tém rozerwaniu dwojga istot, które pomimo to czuły, że je coś z sobą wiązało.

Maryś już zrozpaczyła, by kiedyś Staszka widzieć mogła, gdy czasu świąt Wielkanocnych, uwolniwszy się na dni kilka, z furki na furkę się przesiadając, — jednego wieczoru przywłókł się on do Szerokiego Brodu.

Gdy wywołano Maryś z garderoby — nie mówiąc kto się z nią chciał widzieć; i zobaczyła przed sobą słusznego, chudego, wymizerowanego chłopaka; ledwie się dobrze wpatrzywszy poznać go mogła — tak był zmieniony.

Jemu też w tej pięknej paniencie rumianej, świeżej, pełnej, uśmiechniętej, dawną Maryś poznać było trudno. Ale oczy miała też same i swój wyraz twarzy łagodny a poważny.

Obojgu łyzy się rzuciły z oczów.

Radość była wielka.

Maryś pobiegła natychmiast opowiedzieć się państwu — i oznajmić im o Staszku, o którym nieraz przed panienkami mawiała, — tak że ją czasem nim prześladowano.

Łowczanki ciekawe wybiegły zobaczyć gościa Marysinego, i powróciły rozczarowane, tak się im wydał nędzny i nie piękny.

Maryś zaś tém bardziej jakoś nim się zajęła.

Litość w niej wzbudził.

Stracił nietylko z dawniej powierzchowności wiele, ale posmutniał, stretryczał, zwątpił o sobie. Piękność Marysi, jej położenie szczęśliwe, o którym mu opowiadała, wszystko go upokarzało — odpychać się zdawało.

Rad był że się jej tak wiodło — lecz... dawniej stali z sobą na równi, teraz dzieliła ich wielka przestrzeń.

Przez tych lat parę myśl ożenienia z nią uparcie mu się nastrezczała — lecz... mowy o tém być nie mogło. Dość było spojrzeć na nią by sobie powiedzieć, że znajdzie wielu daleko pewniejsze szczęście i dostatek przynieść jej mogących...

Wyrzec się więc trzeba nadziei.

Łowczy, zawsze gościnny, Staszкови kazał dać pomieszczenie u pisarza. Maryś go krewnym swym zwała, uważając za najbliższego.

— Jej téż, patrząc na Staszka, serce się zakrwawiło. Tém mocniej go pocieszyć chciała i natchnąć męztwem. Nazajutrz rano poszli razem do ogrodu.

Tu dopiero o białym dniu, przypatrzwszy mu się, Maryś dostrzegła, że oczy miał czerwone, zmęczone i wejrzenie smętne. Spytała go, czy nie cierpiał na nie.

— Ale jak! odparł Staszek, pocierając powieki. Nie wiem co się i z czego przyplątało... Mam pieczenie wielkie, a pod noc zachodzą jakby mgłą, szczególniej prawe.

— A! to te siedzenie nad papierami, zawołała Maryś—które potrzeba porzucić! Juźcić nie może być, aby na świecie żadnego miejsca innego nie znaleźć.

— To, jak komu — westchnął chłopiec — a mnie — jak z kamienia.

— Czekaj-że, ja łowczego poproszę; nie może być, aby on nie wyszukał kondycyi u którego z sąsiadów, serce ma dobre.

— Bardzo bym był wdzięczny — odparł Stach, — ano znowu, jakże tu porzucić tego rejenta biednego, który do mnie nawykł i powiada, że jużby się nie obszedł bezemnie. Żal mi go! on też niedowidzi.

— To, niechajże! stary — ale ty też oczy stracisz... To nie może być:

Stach uśmiechał się smutnie, dziękując.

— Bóg zapłać wam, żeście wy dla mnie jak siostra, jak rodzona — rzekł. Ja myślałem, że mogliście zapomnieć o mnie.

— A ja toż samo o was aż do listu — sądziłam. Ale — dodała wesoło — czy to może być żebyśmy my sobie byli obojętni...

Staszekowi na widok ślicznego dziewczęcia serce się ściskało. Kochał ją teraz stokroć więcej, lecz naco się to im zdało.

— A! moja Maryś, rzekł po staremu... Ja was więcej niż siostrę miłuję, wyście dla mnie na świecie jedyną — ale co wam po mnie. Biedak jestem, na nic się ni komu ni wam nie zdam; a wy sobie znajdziecie lepszych niż ja — tysiące...

— Słuchaj-że, Staszek — odparło dziewczę kładnąc mu rękę na ramieniu — co to ma do tego kto lepszy, kto bogatszy, kto piękniejszy — kiedy się raz do kogo przywiąże, to ten nad wszystkich.

Pamiętasz Koralówkę? dziećmi będąc ciągleśmy się szukali... A teraz ja przez te lata tom oczy za wami wypatrzyła. Często się gniewałam na siebie. — Poco o nim myśleć kiedy on zapomina... a zapomnieć nie mogłam!

Uśmiechnęła mu się.

— Moja Maryś! zawołał chłopak — jabym za was życie dał — ale co potem! co potem!

Nie wiecie mi się, do niczego się dobić nie mogę... Obojeśmy ubodzy...

Nie gniewaj się za to, co powiem, ale ja sobie dzieckiem myślałem, że, jak Bóg da, pobierzemy się kiedyś — i to będzie dopiero szczęśliwość!

Maryś się mocno zaczerwieniła, ale oczy wlepiła w niego śmiało.

— Ty sądzisz, że ja też nie myślałam sobie, iż się pobrać musimy? A pocobyśmy się kochali? Ale i dziś tak samo... powiadam sobie... poczekamy, a pobrać się — pobierzemy, bo my dla siebie przeznaczeni.

Schwycił się Staszek po rękach ją całować, aż mu łzy w chorych oczach stanęły.

— O, ty, Maryś moja złota! zawołał — jakaś ty dobra... jakaś ty anielska...

— Pamiętam ci ja to dobrze, gdyś do Błotkowa przyjeżdżał i ostatni grosz swój mi oddawał.

Chłopak jej mówić nie dał.

— Co tam było wielkiego, rzekł... Jużci to pewna, że dla mnie raj i niebo byłoby z tobą, ale naco ty sobie masz moją biedą świat zawiązywać? Ty — mój Boże, znajdziesz na wybór ludzi i młodych i majątnych — a ja... Spuścił głowę i dodał.

— Toćbym chyba sumienia nie miał.

— Cicho bądź! przerwała Maryś, rękę mukiładnąc na ustach. Żeby się o mnie kólewicze

starali, powiadam ci, nie pójdę za nikogo tylko za ciebie. Czekać trzeba — będę czekała! Co wielkiego! dziesięć, piętnaście lat... Tobie się szczęście zmienić musi — Bóg łaskaw!

Pogłaskała go po twarzy...

— No! chodź — zawołała — pokażę ogród, rozruszasz się... Dosyć tego smutku, u nas tu nawet nie wolno z nim się nosić...

W takich rozmowach całe dwa dni upłynęło. Maryś tymczasem przez panienki do łowczego się udała, aby jej krewnemu pomógł miejsca wynaleźć.

Stary, śmiejąc się z podejrzanego pokrewieństwa i palcem kiwając, przyobiegał.

Łowczanki, które przez te parę dni spotykały ciągle Staszka, a raz się z nim nawet wdały w rozmowę, znalazły go wcale do rzeczy, ale nie pięknym, chmurnym, a i czerwone jego zapracowane oczy im się nie podobały.

— Już to, słuchaj Maryś, rób z nim co chcesz, ale jeżeli się myślisz wydać za niego, to my na to nie pozwolimy. Ty sobie znajdziesz rańniejszego kawalera... On jeszcze kiedy oślepnąć może.

Maryś na myśl tę samą krzyknęła z przestraszu.

— A! niechże Bóg uchwali!

Trzeciego dnia Staszek, którego podróż wiele czasu potrzebowała, musiał Maryś pożegnać.

Dziewczę rozstawało się z nim ze łzami.

— Gdy przybyć nie możesz, to choć napisz czasem słowo! szczebiotała. Prawda, że wy tam tego pisanie i psucie oczów macie do zbytku, ale do mnie dosyć dwa słowa... Bylem wiedziała, że żyjesz i o mnie pamiętasz...

Staszkowi gdy na furkę, którą mu łowczy dać kazał do miasteczka, siadał, w głowie się zupełnie zamąciło i z tego wielkiego szczęścia, jakie go tu spotkało, i ze smutku nad dołą własną.

Lecz jak tu się było wydobyć z téj niewoli?

Wprawdzie pobyt przy rejencie miał swe wielkie korzyści.

Pisanie i przepisywanie uczyło, stary mówił, tłumaczył, objaśniał, książki poddawał, do czytania zachęcał, a Stach w téj samotności, aby z nudów nie umrzeć, karmić się niemi musiał.

Lata przebyte w Wólce usposobiły go na coś więcej niż prowentowego pisarza, lecz zarazem zwarzyły młodość jego, nadwreżyły zdrowie, odjęły odwagę do życia.

Zestarzał na duchu w téj atmosferze chłodnej i ciemnej.

Parę dni w Szerokim Brodzie przywróciły nieco młodości... poruszyły sercem, ale odżywić całkiem nie mogły.

Przybywszy do Wólki znalazł swego starego rejenta w łóżku, chorego... Rodzaj febry wycieńczającej odjął mu siły nagle... Umysł pozostał świeży, ciało było złamane. Czekał na swego amanneusa stary, spodziewając się, iż za jego przybyciem przerwana praca umysł zajmując i chorobę odegna.

Zaraz więc poczęło się dyktowanie z podwojoną gorliwością, któremu towarzyszyła niecierpliwść chorobliwa, i niezwyczajne rozdrażnienie. Służba przy chorym stokroć się jeszcze stała uciążliwszą, lecz Staszek przywiązał się doń, litował i podwajał starań, aby mu jaknajlepiej służyć.

Pomimo wezwanego doktora i różnych środków używanych przeciw chorobie, nie ustępowała ona. Wiek się przyczynił do osłabienia i rejent z łóżka wstać nie mógł, ale praca, do której tak nawykł, z większą jeszcze zajadłością i uporem przedłużała się.

Stary lękał się, aby nagła śmierć nie przerwała jój przed ukończeniem.

W Szerokim Brodzie życie płynęło ciągle tym szerokim korytem czystej wody, wesoło, żwawo, raźnie — jak ono tylko dla niewielu pobłogosławionych rodzin upływa.

Szumu trochę na wierzchu tej fali, nigdy mętów, niekiedy coś obcego, przepływającego szybko, co woda natychmiast porywa i unosi.

Do najbliższych sąsiadów i częstych gości w Szerokim Brodzie należał krewny łowczyni, średnich lat, wdowiec bezdzietny, mający niezłą wioseczkę o miedzę, pan Kalasanty Podrębki.

Był to człowiek na pozór zimny, sztywny, nieśmiały, rządnym, — obrachowany... ale pomimo to, jak wszyscy ludzie w sobie zamknięci, pełen głębokiego uczucia, które taił, aby go nie narażać na pośmiewisko.

Pierwsze jego małżeństwo, o którym nigdy nie mówiono, miało być nieszczęśliwe — lecz jejmość jakoś rychło zmarła.

Żeniono go potem wielekroć, ale powiadał, że jarzma małżeńskiego już więcej dźwigać nie chce.

Najłatwiej by mu było starać się o jedną z sióstr ciotecznych łowczanek, lecz z temi był od dzieciństwa nawykł się obchodzić i uważać je za siostry, a stary łowczy małżeństwom między blisko powinowatymi stanowczo był przeciwny.

P. Kalasanty był niemal codziennym gościem w Szerokim Brodzie. Przyjeżdżał, grał z gospodarzem, cicho czasem coś pomówił z pannami, i milczący, jak zwykle, pokorny... służbista... odjeżdżał nazad do domu—dowiadując się tylko czy usłużyć czém nie mógł.

Panny go czasem wyciągały z sobą na przechadzki, aby im kwiatki zbierał, wrota otwierał, od psów bronił i aby się bezkarnie z kogo śmiać miały.

Na tych przechadzkach i u stołu widywał p. Kalasanty Maryś, i pierwsza starsza łowczanka dostrzegła, że pokryjomu na nią często spoglądał, a jak się jój zdawało, bardzo czule.

Młodsza śmiała się z tego.

— Co tobie w głowie! Gdzieby on na którą z nas patrzył... on się kobiet boi i nie lubi.

— No, mów co chcesz... zobaczysz...

Wistocie, z czasem pewna sympatya dla skromnej Marysi zaczęła się coraz okazywać wyraźniej w p. Kalasantym. Z wielką nieśmiałością parę razy starał się z nią zawiązać rozmowę.

Trafiło się, że mógł jęj jakąś uczynić przysługę — nigdy tego nie zaniedbał.

Wszyscy się sentymentu dopatrywać zaczęli, lecz był tak dyskretny, tak bojaźliwy, że zdawał się nie prowadzić do niczego.

Wdowiec miał lat czterdzieści, choć dosyć młodo wyglądał, Maryś ledwie połowę tego wieku.

Nieśmiałe to oczekiwanie trwało z pół roku. W końcu łowczyna, która to także spostrzegła, wzięła kuzynka na spytki.

— Słuchaj-no, Kalusiu—coś ty mi się bardzo patrzysz na tę Maryś? He? przyznaj się! czyby ci się jęj chciało? Mów otwarcie.

Kalasanty okrutnie się przestraszył, zarumienił, chciał zapierać.

— Ale, nie kłam... słodko na nią patrzysz... Niema się czego wstydzić, rzekła łowczyna. Dziewczyna sierota, uboga ale pocziwa i dobra, jużćie nic złego nie myślisz...

Od słowa do słowa Podrębski się przyznał do afektu ale razem i do tego, że żadnej nadziei nie ma, że się starym czuje.

Łowczyni tylko tego było potrzeba. Miała słabość niewypowiedzianą do kojarzenia małżeństw, już dla samych weseli zabawy. Po wy-

Jeździe Kalasantego przywołała Maryś do siebie, aby ją wybadać.

Lecz dziewczę jak tylko zmiarkowało o co idzie, padło do nóg łowczyny i z płaczem jęj powiedziało, że p. Kalasantego szanuje, weneruje — ale zamąż iść nie myśli.

Jęjmość po tak stanowczej odpowiedzi, nie nalegała, domyślała się jakiegoś sentymentu dawnego... dała jęj pokój.

W kilka dni przybył Kaluś i smutną otrzymał wiadomość, aby sobie dziewczynę z głowy wybił.

Przyjął ją jakby do nięj zawczasu był przygotowany, z rezygnacją zupełną.

Lecz Maryś właśnie tego dnia, jak gdyby mu osłodzić chciała ten wyrok, w czasie obiadu i przechadzki starała się być dla niego tak uśmiechniętą i prawie czułą, że Podrębski, choć nadziei pozbawiony, odjechał szczęśliwy.

Zawiązał się między nimi stosunek osobliwy, którego nikt nie mógł zrozumieć, a łowczyna sobie nad nim próżno łamała głowę.

Maryś była śmielszą z nim i poufalszą, on też do nięj daleko mniej trwożliwie się zbliżał, nadskakiwał widocznie i ona to wesoło przyjmowała.

Wszyscy myśleli, że dziewczę się pomiarkowało, obrachowało, i że w końcu się to małżeństwem skończy.

Kalasanty pytany zapierał się i śmiał się smutnie.

— Jestem przyjacielem jój, to pewna, mówił pannom — ale ona za mnie pójść nie pójdzie, no, i ma racyą — a co jój po zeschłym grzybie! To nie przeszkadza, że ja ją miłuję i weneruję i póki życia sentymentu dochowam.

Łowczostwo oboje nie mogąc tego zrozumieć, prawie byli zgorszeni.

— Dziewczyna ma pstro w głowie, choć roztropna, a Kalasanty na romansowego Koloandra się kieruje... i wzdychaniem chce żyć. Gdyby trochę nalegał, bo dziewczęta to lubią — poszłaby, nie ma nic lepszego do zrobienia — on deliberuje i wędzi się! Ale kiedy mu z tém dobrzel!

Było rzeczą dowiedzioną, że Maryś na imieni-ny Podrębskiemu uszyła woreczek z pacioreczkami... że on jój przez łowczanki prezenciki posyłał, ale niby nie od niego one szły... Wszystko to miało swe znaczenie, tymczasem nie zbliżali się więcej — i tyle tylko, że się do siebie uśmiechali.

— Głupi człowiek z tego Kalasantego — mówił łowczy.

Ze swéj strony jéjmość parę razy strofowała Maryś, która jéj odpowiedziała, śmiejąc się, że pana Kalasantego i szanuje i lubi, ale pójść ani za niego ani za nikogo nie może.

— To chyba już masz jakiegoś narzeczonego, któremuś słowo dała — spytała łowczynya.

Maryś spuściła oczy, nie odpowiedziała nic — poszła...

Tak rok upłynął.

Sędzili państwo Łowczowstwo że się to rozchwieje i zapomni, i że ta przyjaźń śmieszna ostygnie. Lecz stało się przeciwnie.

Pan Kalasanty, jakby wdzięczen jéj był że za niego iść nie chciała, codzień się stawał dla niéj czulszym i więcej uprzedzającym.

Dostała Maryś szkarlatyny i trzeba było po doktora — Podrębski sam siadł na konia i na całą noc poleciał.

Później przywiózłszy go, nie wyruszył z Szerokiego Brodu aż się przekonał, że nie więcej chora potrzebować nie będzie.

— Jak mi Bóg miły, śmiała się łowczynya, on się taki w niéj kocha, a ta, z pozwoleniem, głupia, bo na świecie by lepszego męża nie znalazła.

Łowczanki jawnie go nią prześladowały, p. Kalasanty to przyjmował wesoło.

Zdaje się jednak, że musiał chyba zupełnie jeszcze nie stracić nadziei, bo łowczanki raz wyprowadziwszy ich na spacer, gdy manewrowały tak aby samych zostawić, i powróciły potem, — zastały Maryś mocno poruszoną, a Kalusia ze spuszczoną głową, jakby nową odebrał odprawę.

Lecz był to człowiek, jak mówiła łowczynya, osobliwego nabożeństwa; — nazajutrz wrócił taki sam jak był i z Marysią przyjaźń się wiązała nieprzerwana jak dawniej. Byli z sobą jaknajlepiej.

Staszek pisywał ciągle — lecz listy chodziły powoli... on sam przybyć nie mógł. W ostatnich skarżył się bardzo na oczy.

Podrębski, który miał interesa w Lublinie, jakoś w tych czasach pojechał do trybunału, i bawił tam parę tygodni. Gdy powrócił i zjawiał się w Szerokim Brodzie, łowczynya aż krzyknęła zobaczywszy go, tak się strasznie odmienił.

Mizerny był, żółty i policzki miał wpadłe. Przytém, osobliwa rzecz, jadł więcej niż kiedy — żarłocznie i dużo, a skarżył się na osłabienie.

Dawano mu tu jarzębinówkę, piołunówkę, kalmusówkę na przemiany, bo łowczy utrzymywał, że wszystkie choroby generalnie pochodzą z żołądka, który nazywał gospodarzem.

Nie to nie pomagało. Kalasanty chudł, w oczach mizerniał, na skelet wysechł... i ledwie chodził.

Nareszcie zapadł tak, że i z domu już nie mógł wyjeżdżać. Doktor bywał ciągle...

Łowczy jeździł do niego mało nie codzień, parę razy go odwiedziła sama pani z córkami,— i powracała bardzo skonsternowana.

— Nic z niego nie będzie — mówiła — niknie jak śnieg na słońcu... A — co mu jest, wiedzieć nawet nie można... Nasłanie jakieś! Doktor, sekretnie badany, odpowiadał dwuznacznie.

Stary więc łowczy, który lubił porządek we wszystkiém i znajdował, że człowiek winien się przygotować na śmierć rozmyślnie, pojechał delikatnie dać uczuć Kalusiowi naprzód, że spowiedź nigdy nie szkodzi, a testament nie umarza.

Na to Kalasanty mu z uśmiechem powiedział — iż ksiądz już był, a testament dawno złożony w trybunale.

Łowczy go za to w czoło pocałował.

— To znaczy, żeś uczciwy i rozumny, — zakończył.

Łowczyzna pojechała w parę dni wioząc galaretkę jakąś choremu i drobne krupki owsiane... Kaluś przyjął ją wesoło,—śmiał się, baraszkował,

jak gdyby był najzdrowszym, a żegnając ją odjeżdżającą wpół żartem powiedział:

— Niechże ciocia jadąc do mnie przywiezie pannę Maryannę. — Kto wie jaka mnie podróż czeka, chciałbym się z nią pożegnać..

Było to niby w śmiech powiedziane, ale w następnym tygodniu wybierając się do chorego, łowczyna wzięła starszą córkę i Marysi proponowała, aby jęj towarzyszyła.

Dziewczę było mocno wzruszone, zawahało się, lecz gdy łowczyna powtórzyła jęj życzenie chorego, milcząc usłuchała.

Pojechali do Kraskowa.

Całą drogę Maryś milczała, łąy mając w oczach; — Podrębski gdy ją zobaczył, jakby odżył... Nigdy się to dawniej nie trafiało, teraz ją w rękę pocałował.

Po pierwszej chwili zakłopotania, Maryś ośmieliwszy się chorego bawiła, posługiwała jemu i łowczyni... i, choć smutna, przyniosła tu trochę życia i wesela.

Na wyjeźdném o kiju się za niemi do drzwi powlókł p. Kalasanty, i ostatnią idącą Maryś jeszcze raz za rękę wziął, całując.

— Niech pannie Maryannie pan Bóg płaci za to, żeś mnie chorego odwiedziła! Nie wesola to

rzecz patrzeć na takiego Łazarza — ale zasługa przed Bogiem pociechę mu przynieść...

Maryś łzy w wczach stanęły.

Rozstali się tak...

W tydzień jakoś z Kraskowa posłaniec przybiegł że p. Kalasanty dogorywa i z łowczym się widzieć żąda,

Natychmiast stary kazał zaprzęgać i pojechał, ale chorego już zastał na marach.

Żal był powszechny po nim, a Maryś się we łzy rozpłynęła.

Łowczanki nie mogły tego pojąć, że nie chcąc za niego iść, potem go tak żałowała i opłakiwała.

Ciekawość była powszechna komu majątek zapisał, bo krewnych blizkich nie miał. Łowczy, który miał aprehensyą, że córkom jego dostać się może Krasków, otwarcie powiadał, iż tego zapisu sobie nie życzy.

— Myśmy z nim żyli, służyliśmy mu, kochali go—uchowaj Boże legatu! Powiedzą ludzie, że zabiegaliśmy o to i przypochlebiali mu się — a Bóg widzi, że nam to w myśli nie postało. Niechby lepiej na klasztory oddał—a my i bez tego dosyć mamy.

Testament, jak się okazało, był aż w Lublinie, i gdy go otwarto, — zdumieli się niezmiernie

wszyscy. P. Kalasanty łowczankom na szpilki po pięć tysięcy złotych wyznaczył, a Krasków cały z remanentami, na kolanach prosił i błagał, aby Maryś Myszkówna przyjęła, jeżeli chce duszy jego dać spokój.

Wyraził się w téj ostatniej woli swój z takim respektem i afektem dla uniwersalnej legatorki iż ręki jego odmówiła, wierną będąc uczuciu które w sercu zachowała, a o którym on wiedział— że przy czytaniu testamentu wszyscy się popłakali.

Maryś gdy jęj, wpadłszy do garderoby, łowczanka starsza dała znać o tém, zemdląła.

Nie chciała legatu i wyrzekała się go, aż gdy jęj klauzurę przeczytano, że dla spokoju duszy swój błagał o to nieboszczyk — zamilkła.

Winszowali jęj wszyscy—ale ona smutna chodzila jak noc.

Pierwsza rzecz — łowczego prosiła, aby Krasków objął i zarządzał w nim.

Sama została jak była w garderobie i ani myślała w czémkolwiek życie i obyczaj zmieniać, tak służąc łowczyni i w domu jak przedtém.

Gdy po sąsiedztwie wieść gruchnęła, że Myszkównie Krasków się dostał, uboższa szlachta, kawalerowie różni co się koło nięj zdala już

wprzódki kręcili, posypali się w konkury — aż śmieszno było.

Zdawało się jakby dopiero teraz dopatrzyli się że była piękną, roztropną i miłą.

Maryś ramionami ruszała, ani chcąc patrzeć na żadnego.

Był między nimi jeden dziedzic wsi przylegającej do Kraskowa, który łowczemu i jejmości do nóg padał, aby mu pomagali i swatali, chłopiec jak dąb i, co się zowie, przystojny.

Maryś, gdy na nią nalegano, wręcz powiedziała, że naprzód po nieboszczyku rok i sześć niedziel żałobę nosić będzie, a potem — ma już narzeczonego.

Jakoż, natychmiast list napisała do Staszka, aby przyjeżdżał, ale o wiosce swój nie wzmiankowała ani słowa.

Pismo to poszło przez umyślnego posłańca do Wólki.

Na odpowiedź czekać musiała blisko dwa tygodnie...

List, który jój przywieziono, był dziwny; bo, naprzód, nie pisał go Staszek sam, lecz obca ręka głucho jakoś donosiła, iż cokolwiek chory jest, i gdy pozdrowieje, starać się będzie przyjechać.

Maryś się rozplakała odebrawszy go i — jak szalona, uspokoić się nie mogła... koniecznie sama chcąc jechać do chorego.

Łowczyna się temu oparła mocno i nieco ją uspokoiła, radząc czekać, a choćby drugiego potem wyprowadzić posłańca. Znajdowała, iż na żaden sposób nie wypadało jej za narzeczonym gonić, który się tak jakoś okazywał chłodnym dla niej.

Przez kilka dni Maryś we dnie i po nocach płacząc, zmizerniała, o mało się nie rozchorowała sama, w końcu wdowę po ekonomie, która miała dworek w Szerokim Brodzie, namówiwszy z sobą do podróży, tak się jechać uparła, że łowczowstwo oboje już wstrzymywać jej nie chcieli.

Bryczka i konie z Kraskowa przysły, zapasy na drogę także, i z płaczem się rozstając ze swemi dobrodziejami, Maryś z panią Rzepkową — wyruszyła w podróż, uściskana i pobłogosławiona.

Droga do Wólki, choć była rozpowszechniana dobrze przez posłańca i woźnicę zaręczał, że do niej trafi, trwała o dzień dłużej, niż obrachowano.

Pora była jesienna, błoto rozgrzeżone a poboczne szlaki, któremi się przebiegano, niepewne, tak że parę razy pobłądzono; zamiast w południe, późną nocą zajechała Maryś przed małą karczemkę, która nawet zajazdu nie miała. Trzeba więc

było nocować w bryczce na podwórzu — i dnia czekać nimby się do dworu dowiedzieć można...

Zmęczone Rzepkowa i dziewczę, opiąwszy się fartuchem, musiały tak dotrwać do rana.

Maryś, jak tylko we wsi się poruszać zaczęto, naprędce się w alkierzu u żyda przeodziawszy, pobiegła do dworu.

Na zapytanie jej o pisarza Staszka, czy wistocie był chory, żyd głową pokręcił tylko i nie chcąc mówić nic, — potwierdzał to w milczeniu.

Tém niespokojniejsza śpieszyła Maryś do domu, w którym stary sługa zgarbiony, na zapytanie o mieszkanie Staszka, drzwi jej ukazał w progu.

Zwolna otworzyła drzwi z bijącym sercem. Weszła na próg.

Widok który ją uderzył, jak skamieniałą zatrzymał na nim.

Staszek ubrany klęczał z rękoma złożonemi jak do modlitwy, i modlił się gorąco, lzy mu z oczów płynęły.

Zwrócił je ku drzwiom, wpatrzył się, niby we wchodzącą, lecz odgadnąć było łatwo że — nie widział nic.

Oślepl biedny.

Łagodnym głosem zapytał.

— Kto tam?...

Nie mając siły odpowiedzieć mu, przerażona Maryś z krzykiem się do niego rzuciła.

Poznał ją po głosie, rękoma począł szukać ławy, aby sparłszy się na nią mógł powstać. Wzruszenie mu słowa powiedzieć nie dawało.

Maryś płakała i zanosila się.

Staszek był straszliwie zmieniony, smutek, ból, przestрах tego okropnego kalectwa, które go czyniło żebrakiem gdy dopiero żyć poczynął — wyssały z niego siły... Młodość znikła z twarzy... Oczy zdawały się jak dawniej, niby jasne i czyste, tylko jakby mgły łzawej powłoka je osłaniała.

Przybycie Marysi wstrząsnęło nim — rozbudziło jeszcze większy żal po życiu i jego nadziejach... Ona płakała, ale już ocierała łzy... Ujęła go za rękę, zmusiła usiąść. — Siadła sama przy nim na ławie.

— Dawno się to stało? zapytała — Stach nie mógł mówić jeszcze. Ręką tarł czoło i twarz, drżał...

— A! dawno — wieki już! odparł cicho i z wysileniem. Nie przyszło to nagle... Było coraz

a coraz gorzej, oczy zasłaniało coś, dawano mi różne wody i lekarstwa... Robiło się od nich gorzej — nareszcie zaniewidziałem zupełnie...

Rejent pocziwy, sam chory, nie wygnał mnie jeszcze, ale trudno być mu ciężarem... Długo siedzieć tu nie mogę — a i on pono nie pociągnie...

Pójdę więc w świat...

— Nie—odparła Maryś—nie! jutro jedziemy razem.

— Dokąd?

Dziewczę nie odpowiedziało zrazu.

— Nie pytaj teraz, powiem ci wszystko—Bóg łaskaw, a ja jakim ci raz słowo dała, dotrzymam. Nie opuszczę cię!

Staszek porwał się z ławy.

— Maryś! zawołał gwałtownie—to nie może być. Podłym bym był, gdybym ci ja ślepy dziad miał być ciężarem, kamieniem u szyi. — Przed tobą świat, przedemną grób.

— Słuchaj-że, przerwało dziewczę, sadzając go gwałtem przy sobie. Powiedz ty mnie, ale tak jakbyś mówił przed Bogiem prawdę; — gdyby mnie Bóg oczów pozbawił i nawiedził ślepotą, — porzuciłbyś ty swoją Maryś?

Staszek zachnął się cały.

— Nigdy w świecie!... rzekł żywo... ale inna to rzecz obowiązek mężczyzny a kobiety. Do nas należy opieka—a mężczyźni zostać ciężarem dla niej, srom i hańba. Lepiej umierać.

— Nie prawda! zawołała Maryś — nie! nas stworzył Bóg do nianczenia słabych, do leczenia chorych, do obowiązków miłosierdzia... Wyście żołnierze i panowie, my piastunki...

Stach milczał ponuro zamyślony.

— Maryś, serca mi nie kraj — rzekł — pòdłym nie będę ..

Do szpitala pójdę, tam miejsce moje... do klasztoru jakiego mnie przyjmą...

Posłyszał ją płaczącą i zamilkł.

Siedzieli oboje słowa już nie mówiąc.

Rzepkowa, która stała z początku w sieni, weszła do izby powoli, i u progu się zatrzymała słuchając, ale nie uważali na nią.

Stara ekonomowa była jedną z tych gadatliwych istot, które nie umieją milczeć długo. Wmieszać się jój jednak do rozmowy téj było trudno.

Staszek, który już miał ten instynkt i bystrość zmysłów, jaką daje przytępienie jednego z nich, poczuł obecność czyjąś w izbie.

— Ktoś tu jest? — szepnął.

Maryś spojrzała.

— To moja towarzyszka podróży, pani Rzepkowa — rzekła, i dodała.

— Siadaj-że, proszę..

— Mój Boże!... odezwała się stara, załamując ręce.. Cóż to wam na oczy...

— Zaniewidziałem — rzekł cicho Stach... zaciągnęło mi je...

Ekonomowa milczała chwilę.

— Słyszałam ja, rzekła, że takie zaciągnięte oczy kurują. Są na to sposoby. Nie trzeba rozpaczać.

— Al nie! nie! podchwyciła prędko Maryś— i ja słyszałam, że się ślepota taka leczy... znajdziemy lekarza...

Stach milczał... a po chwili szepnął:

— Rejent tak łaskaw, że mi ofiarował furmankę do Lublina, więc czy do szpitala...

Maryś mu nie dała dokończyć.

— Ależ my mamy bryczkę i konie, furmanki nie trzeba... pojedziemy razem.

— To nie może być; — rzekł Staszek stanowczo.

— Moja pani Rzepkowa, odezwała się dziewczyna, zwracając ku niej wejrzenie i dając jej znaki.

Bądź sędzią między nami. Od dzieci wychowaliśmy się razem, jak brat i siostra przywiązaliśmy się do siebie. Daliśmy sobie słowo pobrać się jak Bóg da kawałek chleba, nie mam-że ja obowiązku być mu wierną?

— Oczewista rzecz — potwierdziła ekonomowa. Sama słyszałam od dobrodzieja, że kiedy sobie dwoje ludzi słowo da — to waży tyle co ślub.

— Widzisz! zawołała Maryś.

— Moja ty najdroższa! złota! — krzyknął Stach ręce podnosząc. Czyżem ja mógł przewidzieć co mnie dotknie — i jakże ja dziś bym śmiał... A! nie! nie! pojedę do szpitala... a losu ci nie zawiążę.

Ty, miałabyś na mnie pracować, dla mnie nędzę znosić!

— Czekaj — przerwała Maryś — posłuchaj co powiem.

Głos jej zadrżał.

— Boga biorę za świadka, że czystą prawdę jak na spowiedzi... mówiła Maryś — czystą i świętą powiem prawdę.

Po twojej bytności w Szerokim Brodzie, nie wiem jak się to stało, pan Kalasanty Podrębski siostrzeniec jejmości, wdowiec, starać się o mnie począł.

Żem ja go ku sobie nie ciągnęła — Bóg mi świadek! Oświadczył mi się, nalegali łowczy i jejmość, powiedziałam jak było, żem narzeczoną, że słowo dałam...

Na tém się skończyło.

Potém p. Kalasanty zachorzał i umarł.

Zapisał mi wszystko co miał..., dodała cicho z płaczem w głosie.

Mam więc dom i chleb i pracować nań nie potrzebujemy.

Staszek słuchał zdrętwiały, kilka razy okrzyk głuchy z piersi mu się dobył, potém jakby mu w nich tchu zabrakło, otarł czoło, spuścił głowę.

Skończyła mówić, milezał nie podnosząc jęj.

— Pan Bog ci nagroził, rzekł po długim przestanku, zato żeś wiele cierpiała;—dziś ty jesteś panią, ja żebrakiem, jakżebym ja śmiał -- o mój Boże! nawet gdybym oczy moje miał, przystąpić do ciebie i dopominać się danego słowa... Podłym bym był! Bóg mnie skarż.

— A ja podlejszą jeszcze, gdybym dla tego marnego grosza, który Opatrzność zesłała abym ciebie ratowała — zaparła się przysięgi.

Mów co chcesz... nie odegnasz mnie od siebie...

Stach zakrył sobie twarz rękami i siedział tak pogrążony w sobie; płakał...

Rzepkowój się zdawało, że powinna wystąpić.

— Jekem żywa o podobnej historyi anim słyszała, ani mi się śniło, żeby się co podobnego na świecie trafić mogło...

Co tu się spierać — co tu się drożyć, — cnotliwa jest panienka, a asan uczciwy człek—słowa nie masz, ino дума niepotrzebna... Kiedy miłość w sercu jest, jak to powiadają, ona pastuchy z królami równa.

Co to ma do tego, że ona wioskę dostała, a acan oślepieś...

Co słowo, to słowo!

Mówiła Rzepkowa, a Stach może nie słuchał i nie słyszał, bo nie dawał znaku, aby te argumenta do przekonania mu trafiały.

Maryś chcąc go rozbudzić, powoli dotknęła ręką jego twarzy. Chwycił ją i począł całować w milczeniu.

Przybity był, upokorzony i jak najnieszczęśliwszy tłumił w sobie łkanie i jęki.

Stało przed nim kaleką szczęście jakiego się już nie spodziewał, a między nim a tą szczęśliwością przepaść wykopało sumienie. Chciał w tej chwili umrzeć, pocieszony; — bo żyć tak nędzarzowi na łasce — wzdrygał się.

Wszystko téż co mówiła Rzepkowa, co szeptała Maryś, nie skutkowało... W duszy czuł, że ofiary dziewczęcia przyjąć mu się nie godziło...

Rejent chory, który z łóżka się ruszyć nie mógł, uwiadomiony o przybyciu kobiet jakichś do Staszka, wysłał starego sługę na zwiady.

Właśnie wśród tego milczenia smutnego zjawił się on na progu. Spojrzał na siedzących, nie wiedział jak począć, tabakierkę okręcał w ręku i bąknął:

— Jegomość pyta, możeby co dać przekąsić... Jójmoście z podróży, w karczmie oprócz, chowaj Boże, jaj niema nic—bo to żyd, niewiara—tylko aby wódkę śmierdziuchę szynkował.

Rzepkowa najrezolutniejsza odwróciła się, dając sobie ton pewien.

— Nie od tego... rzekła — żeby, jeżeli łaska gospodarza... bo rzeczywiście po drodze, żeby nie zapas z domu...

Zgarbiony w pół sługa stał, bo mu nie tyle o danie posiłku szło co o dostanie języka.

— A panie z daleka? szepnął.

— Dobry kawał drogi, bo to za Białą,—rzekła Rzepkowa, no i konie pomęczone, choćbyśmy na noc chciały dalej...

Tu Maryś przerwała.

— Byle Staszek był gotów, my na noc musimy ztąd choć o parę mil, bo w karczmie ani dla nas ani dla koni miejsca niema.

— To-by to najmniejsza, boć we dworze się znajdzie... rzekł cicho sługa.

Stach milczał.

Po małej chwili chłopak przyniósł ubogie nakrycie i niewykwintne śniadanie. Maryś ledwie je tknęła, ale Rzepkowa jadła za dwoje; Stach nie chciał nic.

Nie odzywał się prawie i z ławy nie ruszał, Maryś go nie odstępowała. Mowy już nie było o podróży, a o czém inném choć ekonomowa poczyniała, nikt jój nie odpowiadał.

W końcu Maryś wzięła za rękę Stacha.

— Chodź, rzekła — pójdziemy razem podziękować gospodarzowi za to co dla ciebie świadczył, choć — choć — westchnęła — przez niego straciłeś oczy, ale — on temu nie winien, boć nie chciał cię gubić.

Staszek nie dał się z ławy poruszyć.

— Podziękuję mu, odparł, gdy będę jechał — bo furmankę mi przyrzekł, a ja nie z wami ale na nią do szpitala muszę...

— Nie — zaprzeczyła Maryś — i tak jak mnie żywą widzisz, nie ruszę się ztąd bez ciebie. Na Boga przysięgam!

Rzepkowa dodała, głową kiwając.

— Masz wóz i przewóz!! Tak mówić potrzeba... Co się acan będziesz sprzeciwiał, kiedy mocy nie masz, a teraz w naszej jesteś... Trzeba słuchać!

Nie było odpowiedzi. Milczenie to więcej niepokoiło Marysię niż to co mówił, zuamionowało upor w nim, który nie wiedziała jak przełamać.

Szepnęła pochylając się do Rzepkowej i wskazując na niego:

— Na miłość Boga, pomóż-że mi!

Ekonomowa wstała, z hałasem stołek usuwając.

— Tu niema co! rzekła — gdzie acana rzeczy? masz tłumok? trzeba pakować... Już mnie to zostawcie.

Za życia nieboszczyka, gdy bywało w drogę miał jechać, nikt jego rzeczy nie tknął tylko ja, bo wiedział że jak ja tłumok upakuję, to z nim choć na kraj świata...

Stach siedział nieporuszony.

Rzepkowa poczęła się po izbie rozglądać i gospodarować.

Łatwo było rozpoznać, co ubogie mienie chłopca składało...

Mruczał coś chcąc się z ławy podnieść, nie puszczała go Marysia. Musiał w końcu poddać się z rezygnacją despotyzmowi kobiet, które korzystały z jego przymusowej bezwładności.

Maryś biegła niekiedy do ekonomowój, aby jój coś szepnąć i powracała natychmiast do Stacha, który siedział oniemiały, rzucając mu słowo do ucha, lub głaszcząc go po rękach.

Niemężkie łzy ciągle mu z chorych oczu płynęły...

— O mój Boże, szeptał—za coś mnie uczynił Łazarzem, a ja aniołem, którego nie jestem godzien...

Rzepakowa znalazłszy za szafą tłumok, choć z ciężkością jój przychodziło teraz to spełniać co za życia męża tak doskonale umiała—sapiąc i odpoczywając nielitościwie pakowała.

Czuła ona że tu teraz wszystko na niój i jój rozumie a umiejętności postąpienia sobie polegało. Rządziła się więc nie pytając.. Wchodziła, wychodziła, posyłała, w ganku rozmówiła się ze starym sługą, któremu zwierzyła wszystko co wiedziała; zaszła do rejenta i przysiadła na chwi-

lę u jego łóżka, radząc mu na jego chorobę nieo-
chybne lekarstwo.

Słowem, do popołudnia zwinęła się tak, że
bryczka stała zaprzężona przed gankiem.

Maryś nie mówiąc już nic, wzięła Staszka pod
rękę i poszła z nim na przeciwek do rejenta.

— Przyszłam, odezwała się podchodząc do je-
go łóżka, podziękować panu za mojego narze-
czonego...

Rejent wzruszony wyciągnął ręce wychudłe.

— Nie winienem, Bóg mi świadek—zawołał,
że tu sobie oczy nadwreżył. Nie zmuszałem go
do pracy... W Bogu nadzieja, że mu wzrok
przywróci. Widziałem tego przykłady...

Ah! mój Boże — dodał, zabieracie mi go! za-
bieracie. — Jak-że mi pusto będzie w mojej cha-
cie. To była jedna moja pociecha.

Szczerściem nie długo pewnie... tęsknić za nim
będę.

Staszek zapłakał.

Przysunąwszy się, w nogi i po rękach rejenta
całował.

Tak rozstali się.

Mimo oporu posadzono go do bryczki, w której ekonomowa na przedzie sobie siedzenie wymówiła, i Maryś, niecierpliwa aby uwieźć swą zdobycz, dała znak żeby konie ruszyły...

Przez całą podróż Staszek więcej płakał niż mówił.

Ekonomowa, ile razy samnasam z nim pozostała, starała się go wywieść z tego stanu pognębienia, lecz ani jój ani Marysi, która wesołość sobie nakazywała, nie udało się ślepego uspokoić.

Jakieś rozpaczliwe myśli wirowały po głowie jego, ale pilnowano go ciągle, a ślepotą nie dopuszczała mu nic przedsięwziąć.

Tak dnia trzeciego nareszcie zamiast do Szerokiego Brodu, Maryś wprost zawiozła go, nie o tém nic mówiąc, do Kraskowa. Tu zostawwszy przy nim Rzepkową, sama do łowczostwa pośpieszyła, szukając u nich pociechy i rady...

Gdy w ganku, wybiegłszy na jój spotkanie, łowczanki zobaczyły rozgorączkowaną i zapłakaną, domyśliły się łatwo, iż ze smutną wiadomością wracała.

— O! pani moja droga, padając do kolan łowczyny zawołało znużone dziewczę—pani moja — Stach mój! życie moje... ślepy! Oczy mu Bóg obłókł ciemnością...

Łowczanki pochwyciły osłabłą — zemdląłą.

Od Marysi niewiele się co mogli dowiedzieć państwo łowczowstwo... musiano wezwać Rzepkową, aby opowiadała.

Starą Rzepkową wiek i temperament czynił nader prozaiczną istotą, nie mogła więc ani zrozumieć ani pochwalić postępowania dziewczyny, tak samo panny i łowczyna, choć dobrych serc istoty, całe życie pojmowały inaczej; znajdowały więc, że jużei litość nad swym narzeczonym powinna była mieć Maryś, naznaczyć mu ordynaryą, dać chłopca do posług, chatkę w Kraskowie, ale wychodzić za ślepego człeka! to się im w główkach pomieścić nie mogło.

Rzepkowa miała dziewczę za nie spełna przy rozumie.

— Powiadam pani dobrodziejce, prawila, że tak się nad nim rozpadała przez całą drogę, jakgdyby jej mężem był; a on sam przecie ma tyle rozumu, że powiada iż mu się z nią żenić nie godzi i jej świat zawiązywać — ona zaś ani chce słuchać.

Panny patrzyły jedna na drugą. Miłości takiej dla kaleki pojąć nie mogły, Maryś i im wydawała się co najmniej dziwaczną.

— Z tego oczywiście nie będzie—rzekła łowczyzna, dziewczynie się wyperswaduje. Dobre serce ma, ale w głowie pstro... Słowo dawała zdrowemu, prosta rzecz, że kalectwo ją zwalnia.

Gdy tak rozprawiano we dworze, dziwując się dziewczęciu, Maryś drugiego dnia, zdrowszą się czując, już była na nogach; — nie nikomu nie mówiąc, rozgorączkowana naprzód pojechała do Kraskowa, aby Stachowi dozór i wygody obmyśleć; potem udała się do proboszcza.

Był nim ksiądz Prochor, już nie młody kapłan, pocziwy i zacny człek, ale wyziębły i skutkiem ciągłego stykania się ze społeczeństwem ostygłym, sam też sprawy tego świata sądzący ze stanowiska ludzkiego.

Maryś go znała dobrze.

Ze łzami w oczach poczęła mu opowiadać całą historiją swoją i Staszka, chcąc na nim wymódz, aby potwierdził jój przekonanie o obowiązku zajęcia się losem chłopca i połączenia się z nim słubem jaknajprędzej.

Była pewną, że ks. Prochor stronę jój trzymać będzie; tymczasem proboszcz znalazł się nadspodziewanie zimno.

— Moja panienko — rzekł — jesteś młoda, sama siebie nie znasz i nie wiesz jaka cię przy-

szłość czeka. Kaleka ci zacięży, — będzie przykrym, — ludzie zli zechcą korzystać z tego i z jego ślepoty. To prosta droga do grzechu. Nie mogę więc sumiennie ci pomagać do małżeństwa takiego, i owszem odradzam.

To było pierwsze straszne słowo; Maryś się rozplakała.

— Ojcie dobrodzieju! zawołała — ale ja go kocham! Ślepy i kaleka jest mi jeszcze droższy, ja go nie mogę opuścić... umarłabym i zatęskniła się myśląc o nim.

Dlatego do ojca przybyłam, ażeby prosić i błagać, żebyś nas jaknajprędzej połączył i pobłogosławił, bo nie mogę ciągle przy nim siedzieć i pilnować, aby ludzie nie obgadywali; a na cudze ręce nie chcę go zdawać.

Proboszcz się trochę opierał, lecz w końcu to pocziwe przywiązanie, to pragnienie poświęcenia, wzbudziło w nim i szacunek i podziwienie i współczucie.

Kilka słów jeszcze i napomnień dorzucił i wiódząc że to nie pomaga, — obiecał ślub dać, byle się formalności spełniły.

On także, jak Rzepkowa i dom cały państwa lowczych, wielce był zdumiony postępowaniem Marysi, tém bardziej że Staszek teraz wymize-

rowany, zbiedzony chorobą, wcale ponętным nie był.

Wiedziała Maryś, że dopóki ślubu nie wezmą, dopóty ciągle przy nim w Kraskowie siedzieć jój nie wypada. Obyczaj tak chciał, który poszanowania wymagał, aby narzeczeni nie żyli jak po ślubieniu.

Maryś jeździła do Kraskowa na godzin kilka i powracała do Szerokiego Brodu, a Rzepkową posadziła na swém miejscu przy ślepym, który, pomimo szczęścia jakie go spotkało, pogrążony był w sobie i smutny.

Maryś ani o wyprawie swój, ani o żadnych przygotowaniach do wesela nie myślała, chciała tylko jaknajprędzej ślubu, aby mózż zasiąść przy nim i pilnować go, a życie mu osłodzić.

Staszek jedyną w tém ulgę znajdując, stał się nadzwyczaj pobożnym. Po całych dniach Rzepkowa musiała mu czytywać albo żywoty Świętych lub modlitwy.

Cała ta historia, jakby z tysiąca i jednej nocy, stała się plotką na kilkadziesiąt mil wokoło obiegającą, powtarzaną, komentowaną różnie i tłumaczoną złośliwie.

Niepoczciwi ludzie zapis uczyniony przez nieboszczyka Kalasantego, uważali jako zadośćuczyny-

nienie sumieniu, a ślepego Staszka jako człowieka, który winę cudzą miał wziąć na siebie. Przyspieszenie ślubu zdawało się to czynić prawdopodobnym.

Napróżno łowczyna, która się o téj bajce dowiedziała, z oburzeniem protestowała, gniewała się, — ludzie prawili swoje... To tylko było dobrem w zmyślonéj złośliwie plotce, że wiadomość o oślepieniu nagłym chłopca zwróciła uwagę na różne sposoby leczenia w takich wypadkach; Maryś się dowiedziała, że w Warszawie i zagranicą znajdowali się lekarze, którzy umieli w takich razach łuskę zdejmować, nawet od dawna już ociemniałym.

Otucha wstąpiła w serce biednéj dziewczyny. Ślubu więc conajrychlej żądała, aby potem Stacha wywieźć zaraz do stolicy, a bodaj na drugi koniec świata i wzrok mu przywrócić.

Ile razy przyjeżdżała do Kraskowa, nie mówiła tylko o tém, cieszyła się i pocieszała go, zaręczając, że u Boga tę łaskę wymodli... i że on oczy odzyska...

Na Staszku to jednak najmniejszego nie czyniło wrażenia, był jéj wdzięcznym, padał przed nią, ale jakby w szczęście nie wierzył, na chwilę nie wychodził ze swojego stanu rozpaczliwego.

Rzepkowa opowiadała później, iż prawie słowa z niego dobyć nie mogła, choć nieustanném paplaniem starała się go pobudzić do rozmowy.

Gdy mu mówiła o przyszłym weselu — ruszał ramionami tylko, zdawał się i w to nie wierzyć.

Ponieważ do formalności przedślubnych potrzebne były i metryki i papiery, po które posyłać musiano—mimo nalegań Marysi smutne owo wesele przeciągnąć się musiało.

Smutek ów i niewiarę Staszka Maryś sobie tém perswadowała, że po ślubie ona ciągle przy nim będąc—rozpędzić je potrafi.

Tymczasem stała się rzecz niepojęta zupełnie, niezrozumiała dla nikogo. Maryś we czwartek jakoś wyjechała, zostawując jak zwykle Rzepkową na swém miejscu w Kraskowie; Stach czując się, jak mówił, znużonym, zapragnął wcześniej spocząć. Stało się jak chciał.

Nazajutrz gdy Maryś przyjechała jak zwykle, w ganku zastała ekonomową bez czepek, z rozrzuconemi włosami, w rozpaczę ręce łamiącą.

Staszek zniknął.

Nie było go ani we dworze, ani w ogrodzie ani w okolicy, którą już całą przetrzesiono.

Domyślając się nieszczęścia jakiegoś—szukano go w stawach, w rzeczce, po studniach, dopytywano po gościńcach. Nigdzie najmniejszego tropu nie wysledzono.

Maryś była w rozpacz.

Musiano posłać po łowczanki na ratunek, gdyż Rzepkowa głowę traciła i obawiała się, aby nie oszalała lub w straszną jaką chorobę nie popadła.

Z Szerokiego Brodu zjechali natychmiast wszyscy, i łowczy energiczne śledztwo zarządził.

Okazało się tedy, o czém Rzepkowa nie mówiła, że parę razy Stach w sąsiedztwo gdzieś posyłał, — i że do niego dwa razy czy trzy jakiś nieznajomy średnich lat mężczyzna przyjeżdżał, z którym on zamknąwszy się, godzinami coś pocichu szeptał. Na tego całkiem nikomu nieznanego jegomości padało podejrzenie, iż on chyba Staszka, na żądanie jego, uprowadził.

Łowczy przypisywał tę ucieczkę delikatuści człowieka, który dziewczęciu losu zawiązywać nie chciał. Łowczyna zaś pocichu utrzymywała, że musiano ślepemu w inném świetle historią konkrów ś. p. Kalasantego przedstawić. — i że Sta-

szek uwierzywszy w potwarze, — uciekł wprost od kobierca.

Kto mu do tego dopomógł i co się z nim stało, to czas chyba późniejszy mógł odkryć, gdyż po najpilniejszej indagacyi ludzi o owego nieznajomego, nie można się było jego domysleć.

Mówiono, że wyglądał jak zamożny oficyalista; przybywał zwykle sam jeden konno, a z troków przy siodle wnioskować było można iż, co najmniej, o mil kilka mieszkał.

Maryś tegoż samego dnia przewieziono do Szerokiego Brodu, a zdesperowana Rzepkowa, na którą cała wina spadła, powróciła do swęj chatki, wioząc z sobą na całe życie obfity materiał do opowiadań.

Zjeżdżano się do nięj z sąsiedztwa, aby z własnych ust jęj posłyszeć — jak to było.

Ekonomowa inaczej téż sobie ucieczki wytłumaczyć nie umiała, jak doszłemi do uszu Stacha plotkami. A że na Maryś nie wiedzieć za co złą była, — i ona teraz skłonną się zdawała do wierzenia, że ś. p. Kalasanty nie darmo zapisał cały majątek ubogięj dziewczynie.

— Już czy on się miał z nią zenić czy nie—to tylko jeden Bóg wie, szeptała poufnym swym;— ale że między nimi były stosunki!! ho! ho...

Schodzili się w ogrodzie z sobą... ludzie widzieli. Potém ś. p. Kalasanty zachorował, to ją łowczy-na musiała do niego wozić... a panienka, rezolu-tna, wymogła na nim zapis z pokrzywdzeniem rodziny, bo to się należało łowczankom.

Wieść ta o wielkiej przewrotności Marysi, o jej intrygach — zabiegach dla pochwycenia majątku, tak się dobrze przyjęła wszędzie, iż inaczej całej tej przygody sobie nie opowiadano. Milczenie zaś i obronę Marysi przez łowczynę przypisywano zacności jej i szlachetności.

Maryś zachorowała obłożnie po powrocie do Brodu. Doktor przybyły znalazł i chorobę wątroby, i różne inne naruszenia organizmu... Kazano jej w łóżku leżeć, lekarstwa brać.

Zmizerniała biedna w dni kilka, oczy wypłakała... a co miała grosza posyłała to do św. Antoniego, jak wiadomo patrona rzeczy zgubionych, to na zapłatę ludzi, którzy Staszka poszukiwali.

Chłopak jak w wodę wpadł, i zdaniem większości nawet najprawdopodobniejszym było, że się musiał utopić.

Zaraz za dworem w Kraskowie był młyn wodny, którego szum czasem we dworze słyhać było. Wiedział więc o nim Staszek i choć ślepy

mógł trafić łatwo... Staw przy młynie był bardzo głęboki.

Na grobli, powiadali ludzie, jakoby w tym czasie czapkę jakąś ktoś znalazł, i domysłano się że była Staszkową.

Szczęściem, Marysi o tém nie doniósł nikt, a ona miała jakąś nadzieję — że biedny jój ślepy gdzieś się znajdzie, że ona go wyszuka.... i...

Gdy Maryś wstała, łowczanki zaczęły się obawiać o nią, tak bardzo osłabła i zmieniła się. Siły powracać nie chciały, ochoty do niczego nie miała, i jak tylko wyjść jój pozwolono, po całych dniach w kapliczce na posadzce siedząc, modliła się i płakała.

A że jedno nieszczęście nigdy samo nie przychodzi — wnet potém i drugie ją dotknęło.

Nikt się nigdy do pana Kalasantego za jego życia z krewnych nie zgłaszał — o Podrębskich żadnych nie słyszano. Łowczyna nawet, bliska krewna, nie wiedziała o nich. Teraz nagle z pod Płocka od Mazurów, — wyskoczyli jacyś Podrębscy, wywodząc się od stryjecznych i utrzymując, że majątkiem dziedzicznym rozporządzać nieboszczyk nie mógł.

Zapowiadali proces. Łowczy, jako opiekun, musiał stawać w obronie, lecz nie cierpiąc spo-

rów, pieniactwa i ciągnięcia się po sądach — otwarcie zaraz mówić zaczął, że trzeba skończyć ugodą i dać odczepnego.

Marysi musiano powiedzieć o tém.

Nie zrobiło to na nią najmniejszego wrażenia; wręcz odpowiedziała:

— Niech sobie Krasków biorą, ja i tak do klasztoru pójdę, gdy mi się mój Staszek nie znajdzie.

Łowczy widząc ją tak obojętną, natychmiast pojechał z plenipotencją do układów, i wytargowawszy z biedą trzydzieści tysięcy złotych dla Marysi, Krasków z remanentami oddał.

Sumę tę ocaloną ulokowano zaraz na dobrach jakichś Radziwiłłowskich. Maryś przyjęła o tém wiadomość tak obojętnie jak pierwszą.

Nie przywiązywała wagi ani do tego posagu, ni do niczego już w świecie. Prosiła tylko łowczych aby jej nie wypędzali, dopóki, straciwszy nadzieję wynalezienia Staszka... nie pomyśli o klasztorze...

Młodość, która ma siły potężne, nie dała jej się smutkiem zagryźć i zamęczyć. Zwolna zaczęła wracać świeżość dawna i piękność, ale nie była to ta jak różyczka kwitnąca dawniej Maryś, za którą oczy wszystkich chłopców biegały. Cera

jój wydelikatniała, stała się przejrzystą; niebieskie oczy zdawały się we łzach pływać — a uśmiech, rzadko gościł na wargach. Jedyłą dystrakcją dla niej była cicha modlitwa i krzatanie się, od rana do wieczora, około gospodarstwa.

Nieśmiało wprowadzie, ale ci którzy o trzydziestu tysiącach salwowanych wiedzieli, poczęli znowu zbliżać się do Marysi, choć — plotki o ś. p. Kalasantym weszły były już w liczbę rzeczy wyprobowanych, przyjętych za prawdę i dowiedzionych.

Poddeptani starzy kawalerowie, wdowcy, dzierżawcy z okolicy polecali się względem łowczyny aby ich swatała... Jójmość ich odprawiała, nie mówiąc nawet Marysi, bo ta ciągle o klasztorze tylko prawila i wybierała się do niego.

Upłynął tak rok i począł się drugi.

Łowczanki obie nareszcie powybierały sobie mężów; sprawiono z kolei dwa weseliska, paradne, szumne, ze wszystkimi starymi obrzędami i ceremoniami odwiecznymi. Maryś była w domu pomocą wielką i łowczyna powiadała że bez niej, jak bez prawej ręki, nigdyby w świecie nie dała sobie rady.

Gdy Szeroki Bród osierociał po wyjściu obu pańienek, Maryś jedna została w ich miejscu, —

a łowczyzna ani chciała słuchać, aby się z nią kiedy mogła rozstać.

Stary pan i ona obchodzili się z nią jak z ro-
dzoném dzieckiem, stała się podporą domu.

Jéjmość ociężała, łowczy się nudził, bez Maryś
i w pokoju nie mogli się obejść. Bawiła ich obo-
je, przyjmowała gości, wydawała z apteczki —
snuła się od rana do wieczora po domu, a starzy
za nią oczami gonili.

Dwa lata ubiegło tak znowu.

O Stachu nie było wieści i na pozór zapomnia-
no o nim nawet. Jedna Rzepkowa tylko, stwo-
rzywszy sobie o nim legendę z wielą własnego
wymysłu dodatkami, powtarzała ją.

Maryś unikała wspomnienia o narzeczonym —
lecz że nie wyszedł jéj z pamięci, o tém ciche
ły na modlitwie świadczyły.

Dnia jednego, gdy oboje państwo sami siedzie-
li w bawialni, bo szczególnym trafem nikogo z są-
siedztwa nie było, a Maryś pojechała do miaste-
czka dla nabożeństwa i domowych zakupów, bry-
czyna się zatoczyła przed ganek.

W Szerokim Brodzie nie było to rzadkością; łowczy wyrżał, lecz choć wszystkie zaprzęgi w sąsiedztwie były mu doskonale znane, i po szkapach je z daleka determinował — ani koni ani wózka tego nie przypominał sobie.

— Kto to może być? szepnął ciekawcy.

W tém do pokoju wszedł urodziwy, młody mężczyzna, wcale porządnie ubrany, skłonił się jakoś nieśmiało i przedstawił za Stanisława Mierzowskiego.

Łowczy, który każdego przyjmował serdecznie, byle do domu jego zajechał, przywitał i nieznajomego bardzo uprzejmie, nieco zdziwiony — gdyż z nazwiska go sobie nie przypominał.

— Państwo dobrodzieństwo darują mi — odezwał się gość, czapkę w rękę dusząc z widoczném zakłopotaniem; — państwo darują, że się ośmielim być im natrętnym. Właściwie sprowadza mnie tu...

Zająknął się nieco.

— Przybywam dla widzenia się z panną Maryanną Myszkówną.

Łowczyzna, która siedziała za stołem, zerwała się.

— Boże wielkiego miłosierdzia! Miałżebyś waćpan być... ale tamten był...

— Tak, pani dobrodziejko—rzekł przybyły— ja to jestem ten ślepy... Pan Bóg się ulitował nademną, wzrok odzyskałem. Doktor mi zdjął szczęśliwie tę zasłonę... Nie zgłaszałem się jednak długo, bo... bo...

Łowczy stał w podziwieniu przed nim, ręce podnosząc do góry.

— Bo panna Maryanna była właścicielką wioski... Mogłoby się było zdawać, żem się ułakomił...

Teraz dopiero, dowiedziawszy się iż... procesem jój zapis odebrano, a sam mając stałą i dobrą posadę...

Łowczostwo popłakali się oboje; ale egoizm ludzki nigdy swych praw nie traci, to też i pocziwa łowczyzna wykrzyknęła mimowoli:

— I weźmiesz nam tę jedyną naszą pociechę! a nas osierocisz...

Ale łowczy żonę zburczał...

Zaproszono siedzieć gościa, konie poszły do stajni. Łowczyzna teraz biegła do okna, wypatrząc rychło-li Maryś nadjedzie.

— Ale — proszę waćpana, wołała śmiejąc się — siedź tu... spokojnie, nie zdradzaj się. Nic jój nie powiemy... Niech-że ma niespodziankę, na którą dziewczę zasłużyło...

Oboje zaczęli mu rozpowiadać jak ona wiele cierpiała, jak się modliła, płakała, dowiadywała, posyłała i nigdy nie traciła nadziei odzyskania narzeczonego.

Staszek wzruszony nie mówić nie mógł.

Na opowiadaniach tych upłynął czas do wieczora.

O zmierzchu, gdy już świece podano, zaturkotało. Łowczyzna poznała bryczkę, była to Maryś powracająca z miasteczka.

Jakoż w chwilę potem, jak stała z bryczki weszła do pokoju.

Nie spodziewała się wcale zastać gościa... nie spostrzegła go nawet z początku, idąc się witać z łowczyzną. Wtém, gdy go pomijała już, podniosła wzrok przypadkiem; — stanęła, zbladła i krzyknęła okrutnie.

Staszek plackiem u nóg jej leżał, ale łowczyzna i łowczy mdlejącą pochwycić musieli.

— Cud! cud! zaczęła wołać...

Jakże tu tę radość, jak to szczęście opisać??

Staszek powracał zdrów, z jasnymi oczyma, z sercem stęsknioném i kochającém, wdzięczności pełném.

— Dzięki Bogu, odezwał się, bez Kraskowa się obejść możemy... To com oczyma i chorobą

przyplacił u rejenta posłużyło mi, gdy w wzrok cudem odzyskał... Znalazłem miejsce przy prawniku, który mi umierając swoją klientelę zostawił. Wiodło mi się i wiedzie dobrze. Chleba kawałek mamy...

— No — przerwał łowczy — ale i panna Maryanna też nie bez posagu... Trzydzieści tysięcy u Radziwiłłów ma... a wesele i wyprawę od nas musi przyjąć, bo nam jakby własnem dzieckiem była.

Tak tedy, po długich latach oczekiwania, para sierot podała sobie ręce u ołtarza... a wesele sprawił łowczy i łowczyna dała wyprawę taką, iż w najmniejszej się rzeczy od wypraw i wesela córek ich nie różniły.

Tydzień cały popijano miód i wino...

Nie powiem wam że tam byłem, że miód i wino pił i że mi, jak w bajkach, po brodzie ciekło, — bo nie uwierzylibyście w tę hulankę weselną starego gryzmoly, który po jednym kieliszku jużby miał dosyć.

Drezno — r. 1880.



Nakłady GEBETHNERA i WOLFFA w Warszawie.

		Kt.
Bain Alex. Nauka wychowania, przekład z angielskiego	2 tomy	2 50
Bałucki Michał. Romans i z namiętności i szkice powieściowe z galeryi serc kochających	1 —	1 —
Bełcikowski A. Wacław z Potoka Potocki. Studium literackie	—	50
— Lucyan Siemieński	—	50
Bobrzyński Michał. Dzieje Polski w zarysie, 2 tomy	1 —	1 —
Brodziński Kaź. Pisma. Wydanie zupełne popr. i dopoln. z nieogłosz. rękopis. staraniem J. I. Kraszewskiego (z wizerunkiem poety 8 tomów)	8 —	8 —
Buckle H. T. Historia cywilizacyi w Anglii. Przekład Wł. Zawadzkiego. Wydanie drugie, 2 tomy	3 60	3 60
Bykowski P. J. Trzy epizody z dawnego życia szlacheckiego	1 50	1 50
Chełmiński Ks. Ż. Obowiązki rodziców, rozprawione w siedmiu kazaniach	1 —	1 —
Chodźko Ignacy. Paniętniki Kwęstarza. Wydanie nowe ozdob. 12 rycin. pomysłu E. M. Andriollego. W oprawie wytwornej bogato zdobionej	15 —	15 —
Dubiecki M. Kudak, twierdza krakowska i jej okolic. Monografia historyczna	—	90
Dzieduszycka A. Kilka myśli o wychowaniu i wykształceniu młodzieży naszych. Wydanie drugie	1 —	1 —
Fredro Aleks. hr. Dzieła. Wydanie zupełne w 12 tom. in 8-o na papierze wlinowym	24 —	24 —
Fredro Jan Aleks. (syn). Komedy. Tom 1 i 2-gi wydanie drugie	2 —	2 —
Tom 3 i 4-ty znajdują się pod prasą.		
Hübner Baron. Sykstus V. Według korekty dyplomat. niewyd. znajdujących się w archiwach: Watykań, Wenecyi, Paryża, Wiednia i Florencyi. Przekład Stan. Stroynowskiego 2 tomy	3 60	3 60
J. Dr. Antoni. Zamczyska podolskie na kręsiach multumskich. 2-o Wydanie, 3 tomy	5 —	5 —
Tresć: Kamieniec nad Smotryczem — Żwennice. — Pamiówek. — Czarnokoznice. — Bar. — Mohylów. — Szarogród.		
Jordan. Ze wspomnień marymonckich	60	60
Jeleński Jan. Ziarnka społeczne dla matek naszych	50	50
Kantecki Klemens. Artur Grotter. Szkice biograficzne	1 50	1 50
— Sumy Neapolitańskie. Opowiadanie historyczne	1 50	1 50
Korzon Tadeusz. Historia starożytna, wyłożona sposobem elementarnym, z dołączeniem 3 map, planu, tablic synchroistycznych i 97 drzeworytami	1 50	1 50

Lubowski Edward. Ciepły J...	1 80
Lusławski. O powinnościach...	1 20
Łubieński hr. Feliks minister sprawiedliwości. Pa...	1 —
Malczewski Ant. Marya. Powieś...	10 —
— Wskorę szarynową...	15 —
Mickiewicz Adam. Korrespondencja...	3 —
— Korrespondencja...	6 —
Odyniec A. E. Liły z...	5 40
— Thymazeni...	—
Orzeszkowa Eliza. Z różnych...	2 70
Pawiński A. Serbia. Zarys historyczno-...	— 90
Rzazewski A. Studya nad literaturą...	1 —
Sienkiewicz Henryk. Pisma...	6 —
Spencer Herbert. O wyłożeniu...	1 45
Tarnowski hr. Stan. Komedy...	— 60
Tyszkiewicz hr. K. Wilna i jej...	3 —
Wielogłowski W. Kraków przed 40 laty...	60
Wilczyński Bol. Stanislav Monuszk...	1 —
Wiśniowski Sygurd. Dzieje...	1 50
Wójcicki K. Wł. Trybicki hr. Skarbek...	50
— Kawa lit...	60
— O...	90
— Warszawa...	1 80
— Warszawa...	1 50
— Spół...	1 80
Zarysy charakteru Germanów i...	40

Biblioteka Raczyńskich

JK 484



JK0484